

NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi w Galicyi i Austryi: Kwartalnie kor. 6·25 Półrocznie kor. 12·50. Rocznie kor. 25. — Do Niemiec: Kwartalnie 6 kor. 90 hal. Półrocznie 13 kor. 80 hal. Rocznie 27 kor. 60 hal. z przesyłką pocztową. — W Ameryce: Kwartalnie 7 kor. 55 hal. Półrocznie 15 kor. 10 hal. Rocznie 30 kor. 20 hal., z przesyłką poczt.

Zmiana adresu kosztuje 40 hal.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 hal. — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy

Wychodzi każdej soboty.

REDAKCYA I ADMINISTRACYA: KRAKÓW XV. ulica Kazimierza Wielkiego L. 95 (dom własny)

Telefon Nr. 479.

Naczelny redaktor: Sylweryusz Chmurkowski

Wyłączne zastępstwo na Lwów: KAROL BUCHSTAB, Biuro dzienników — Lwów, ul. Karola Ludwika 21.

Główny skład na Królestwo Polskie: Władysław Biernacki w Warszawie, Hoża 15.

Główny skład na Księstwo Poznańskie: M. Niemierkiewicz Poznań, plac Wilhelmowski 3.

Numer pojedynczy 50 halerzy.

Rok XIV. | **Kraków, 15 grudnia 1917.** | **Nr. 50.**

W nadziei rychłego powrotu do ojczyzny.



Ćwiczenia gimnastyczne i inne zabawy sportowe jeńców rosyjskich w jednym z ich obozów w Austro-Węgrzech. (Woj. kwat. pras.)

W nadziei rychłego powrotu do ojczyzny.

(Do ilustracyi tytułowej).

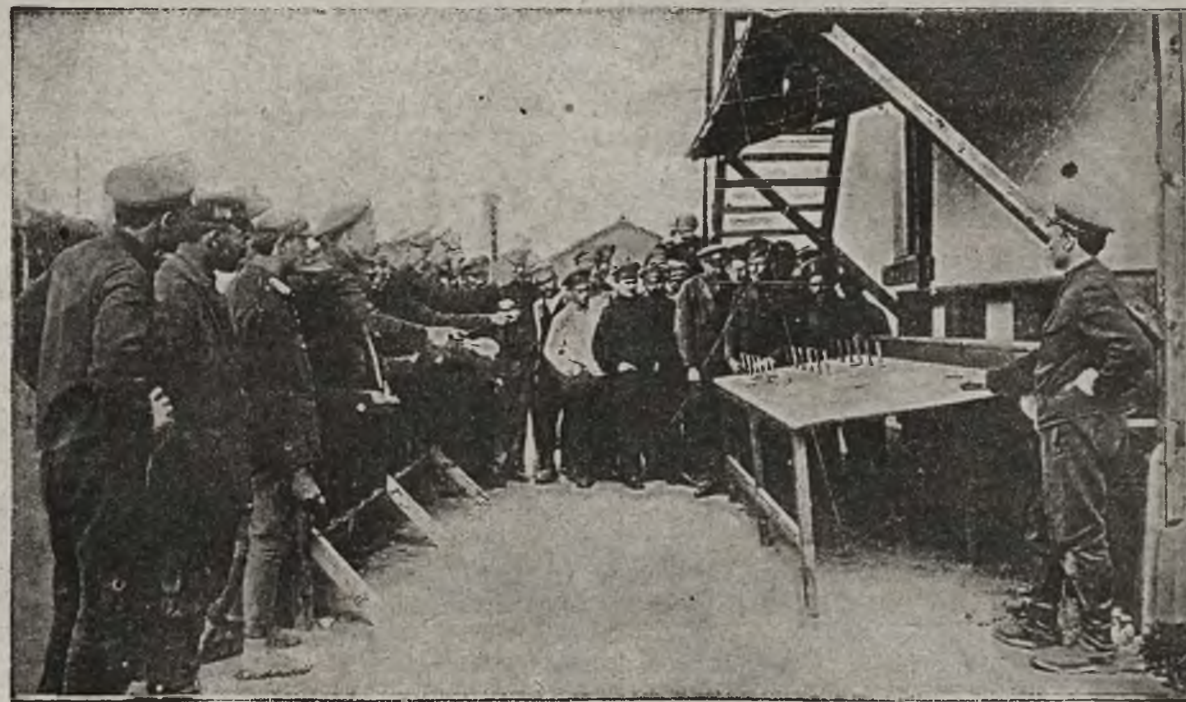
Wiadomość o zawarciu dziesięciodniowego zawieszenia broni pomiędzy Rosyą a mocarstwami centralnemi radosnem echem rozeszła się zwłaszcza w obozach rosyjskich jeńców. Na obszarze monarchii austryacko-węgierskiej jest ich sporo, a w każdym z nich znajduje pomieszczenie po kilka i kilkanaście tysięcy żołnierzy wszelkich narodowości, zamieszkujących ziemie, dawniej berłu białego cara podległe



Pierwszy gabinet polski: Premier Jan Kucharzewski.

Z chwilą urzędowego ogłoszenia zawieszenia broni w serca tych biedaków, pędzących swój żywot tułaczy zdala od ojczyzny, wstąpiła nadzieja, że zbliża się już czas powrotu między swoich, bezpośrednim bowiem następstwem wstrzymana operacyi wojennych na wschodnim froncie powinno być wdrożenie kroków pokojowych, a, co za tem idzie, i wzajemna wymiana jeńców.

To też we wszystkich obozach jeńców rosyjskich radość zapanowała nieopisana, wyrazem jej było żywe zajęcie się pracą i różnemi rozrywkami, bo i na nich w tych obozach nie zbywa, byle tylko skrócić sobie przykry czas oczekiwania.



W nadziei rychłego powrotu do ojczyzny: Jeńcy rosyjscy w jednym z swych obozów w Austro-Węgrzech, zabawiają się rzucaniem pierścienia. (Woj. kwat. pras.)

Pierwszy gabinet polski.

Po długich pertraktacyach i naradach gabinet polski stał się faktem dokonanym. Rada regencyjna zatwierdziła listę ministrów, która przedstawia się, jak następuje: Prezydent ministrów — Jan Kucharzewski; sprawy wewnętrzne — Jan Stecki; sprawiedliwość — Stanisław Bukowiecki; skarb — Jan Kanty Steczkowski; wyznanie i oświata — Antoni Ponikowski; ministerstwo żywnościowe — Przanowski; rolnictwo i dobra koronne — Mikułowski-Pomorski; przemysł i handel — Jan Żegleniczny; opieka społeczna i ochrona robotników — Stanisław Staniszewski.

Pierwszy gabinet polski rozpoczyna zatem swą działalność, a jego program streścił niedawno prezes ministrów, który pragnąc nawiązać kontakt z prasą stolicy, zaprosił przedstawicieli prasy do sali Rady Stanu i wygłosił wobec nich obszerne exposé.

Zaznaczywszy na wstępie trudności, z jakiemi się spotyka obecna budowa państwa polskiego, podniósł premier, że sytuacya rządu będzie na razie trudna, gdy nie będzie jeszcze ciała przedstawicielskiego, a nawet jego surogatu, administracyi państwowej. Poza tem pozbawiony będzie jeszcze przez długi czas tych środków ogromnych, jakiemi rozporządzają



Z frontów bojowych: Widok jednej z głównych ulic w Conegliano, po zajęciu przez armie sprzymierzone (Fot. Bala)

inne państwa, a stąd wyniknie brak należytej powagi i zaufania, łatwość starcia między rządem a społeczeństwem. Regulowanie tego stosunku, usuwanie wszelkiej nieufności będzie zadaniem prasy. Rząd musi się przejąć zasadą jawności. W tym celu przy departamencie spraw politycznych powstanie biuro prasowe, w którem koncentrować się będą informacye rządu. Oprócz tego stworzony będzie organ rządowy, który odzwierciadlać będzie działalność i zamierzenia rządu. Poza tem obywatelski obowiązek informowania ogółu o toku spraw bieżących obejmie prasa wolna, która zrozumie zapewne doniosłość swej roli i spełni obywatelski obowiązek.

Przy tworzeniu gabinetu wzięto pod uwagę w pierwszym rzędzie fachowe i naukowe kwalifikacye przyszłych ministrów, którzy winni być mężami zaufania ogółu. Niektórych trzeba sprowadzać z innych dzielnic Polski. Czekają tych ludzi zgryzoty i gorycze i skromne warunki materyalne, obok sytuacyi niepewnej. Ale nie odstrasza to ludzi o prawdziwie obywatelskiem poczuciu obowiązku, którzy gotowi są wszelkie osobiste korzyści złożyć na ołtarzu sprawy publicznej.

Rząd nasz musi być szczerze demokratyczny w swoich podstawach i zarządzeniach, oraz w formie i stosunku do społeczeństwa. Biurokracya nie może być sztywna i wyodrębniona od ogółu. Musi się u nas wyrobić typ urzędnika obywatela.

Zadania rządu będą więc dwojakie: na teraźniejszość i przyszłość. Rząd musi uczynić wszelkie wysiłki, aby poprawić ciężkie położenie, w jakiem znajdują się nasze masy, aby ulżyć niedoli ogółu. Doktrynerem byłby ten, ktoby myślał dziś tylko o Polsce przyszłości, a zapomniał zupełnie o teraźniejszości, bo Polska przyszła będzie stworzona przez pokolenie dzisiaj żyjące.

Do zadań chwili teraźniejszej zaliczam utrwalenie w granicach dzisiejszych możliwości stanu prawnego i uczynienia wszelkich w tym kierunku wysiłków.

To są zadania teraźniejszości w najogólniejszych zarysach. Ale rząd nie spełniłby obowiązku swego, gdyby zajął się wyłącznie leczeniem ran; myśląc o budowie przyszłej Polski, musi on iść naprzód choćby poprzez ostre kamienie, prowadząc naród za sobą.

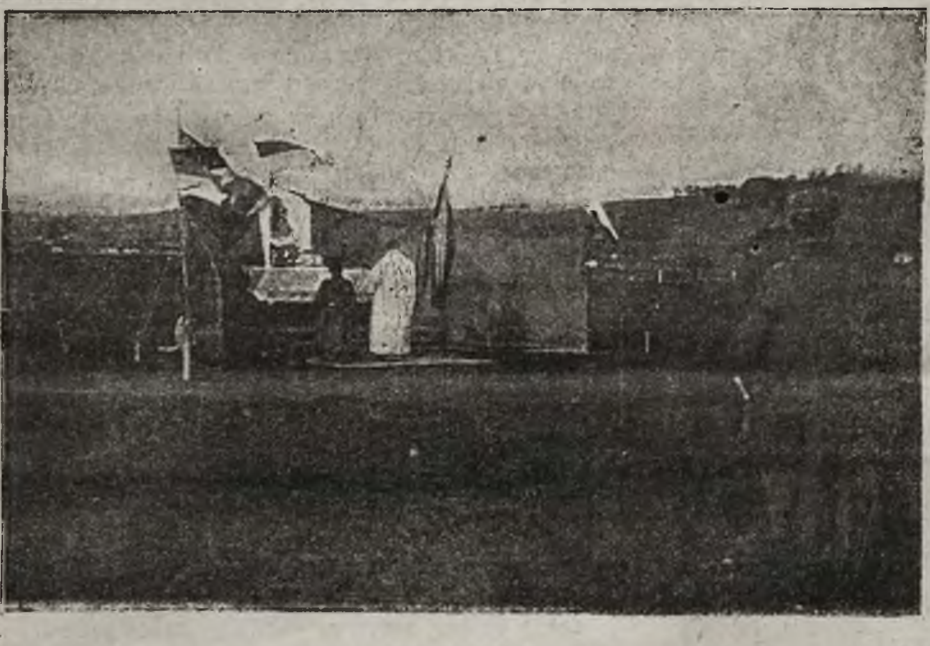
Ciężka jest rola rządu wówczas, kiedy niema forum, przed którem mógłby się wypowiedzieć. Rada Stanu jakkolwiek byłaby utworzona, nie będzie ciałem przedstawicielskiem w istotnym tego słowa znaczeniu, a jedynie surogatem. Życzyć sobie trzeba, aby jaknajprędzej został zwołany sejm.

W sprawie armii narodowej, utworzenie wojska uważa premier za sprawę pierwszorzędnej wagi. Stworzenie armii drogą poboru stanowi niesłychanie doniosły i pilny dziś obowiązek narodowy. Jest to wprowadzenie w grę i wydobycie na jaw głównych czynników naszej politycznej mocy. Oczywiście, aby powstała armia narodowa, potrzeba całego szeregu warunków, które stworzyć nie jest bynajmniej rzeczą łatwą. Tylko nie zdający sobie sprawy z trudności, z jakiemi związane jest tworzenie armii, mogą obawiać się w tej dziedzinie zbytniego pośpiechu. Tworzenie armii narodowej zbratałoby istotnie cały naród z państwem polskiem. Musy muszą poczuć wreszcie, iż w sile obronnej narodu tkwi najbardziej siła państwa.

Wrażenie expesé p. Kucharzewskiego było bardzo duże. Uderzało w nim przedewszystkiem obywatelskie poczucie odpowiedzialności wobec narodu i historyi, jakie wnosi prezes ministrów do swojej działalności i wielka szczera demokratyczność poglądów, oraz nawskróś nowoczesne, europejskie pojmowanie zadań swego wysokiego urzędu.



W nadziei rychłego powrotu do ojczyzny: Jeńcy rosyjscy podczas gry w kręgle. (Woj. kwat. pras.





Msza polowa **Legiony przed wymarszem w pole:** Oficerowie pierwszego pułku artyleryi



Z frontów bojowych: Pancerna haubica na tle tyrolskiego krajobrazu zimowego. (Woj. kwat. pras.

Rosyjscy apostołowie pokoju.

Jakkolwiek będziemy oceniać przebieg wydarzeń w Rosyi, fakt pozostanie faktem, że zwycięstwo



Rosyjscy apostołowie pokoju: Włodzimierz Lenin.

Lenina nad Kiereńskim stało się pierwszym realnym krokiem na drodze do pokoju. Wódz „bolszewików“ wraz ze swym pomocnikiem, „komisarzem ludowym“ do spraw zagranicznych, Trockim, rozpoczęli akcyę pokojową, która znalazła oddźwięk nie tylko w Rosyi, ale osiągnęła już poważny sukces, doprowadziwszy do zawieszenia broni na wschodnim froncie. Jaką koleją potoczą się dalsze wypadki, trudno dziś przesądzać. Trzeba jednak przyznać, że ci dwaj rosyjscy apostołowie pokoju, uczynili pierwszy krok do zakończenia tej najstraszniejszej w dziejach wojny. Nic też dziwnego, że ci, nieznani dotychczas działacze rosyjskiego socyalizmu, stali się w obecnej chwili najpopularniejszymi w Europie ludźmi, o których szeroko rozpisuje się prasa europejska. Ciekawe o nich szczegóły, niezmiernie charakterystyczne dla obecnych stosunków w Rosyi, zamieszcza p. Henryk Korab Kucharski, publicysta i literat polski, a zarazem redaktor polityczny paryskiego Matina, który od dłuższego czasu bawił w Petersburgu jako korespondent francuskiego dziennika. Przed samym wyjazdem do Francyi udał się p. Kucharski do Smolnego Instytutu, aby dowiedzieć się z własnych ust prezydenta ministrów Lenina i ministra spraw zagranicznych Trockiego, jakie są ich zamiary na przyszłość. Oto jego relacya z rozmowy z ministrem Trockim, zamieszczona w „Dzienniku polskim“:

Trockiego widywałem jeszcze w Paryżu. Uczęszczaliśmy do tej samej kawiarni i doskonale sobie zapamiętałem jego twarz charakterystyczną. Nic się nie zmienił. Ta sama gęsta, czarna czupryna, bez jednego siwego włosa. Ta sama mefistofelesowska bródka. Ten sam wyraz twarzy, ostry, badawczy i zawzięty. Gdy wszedł do gabinetu, wspomniałem mu, iż spotykałem go w Paryżu.

— Tak — odrzekł twardo — bawiłem tam czas dłuższy, ale wasz minister Malvy mnie wypędził.

— Pragnąłbym zasięgnąć od pana, panie ministrze, trochę informacyi o położeniu. Sądzę, że mi pan nie odmówi odpowiedzi na pytanie, jaki będzie wasz dalszy stosunek względem wojny.

— Ogłosiliśmy — odpowiedział Trockij — nasz manifest pokojowy i rozrzucimy go przy pomocy samolotów po wszystkich frontach. Nasi lotnicy zawiozą go nawet do Niemiec, aby tam uwiadomić opinię.

— Ale czy pan sądzi, że rządy koalicyjne przystaną na waszą propozycyę. O ile znam intencye tych rządów, to nie widzę bynajmniej, aby...

Trockij znowu mi przerwał.

— Wiem, wiem, że mają twarde głowy, ale i Krasnow, komenderujący bandami Kiereńskiego, miał jeszcze dziś rano twardą głowę. A oto teraz siedzi tu pod kluczem. Poddał się i jest nawet gotów ogłosić już odezwę do kozaków, aby przestali nam się opierać.

— Może. Ale rządy koalicyjne to jednak inna potęga, niż pan Krasnow. Może rządy nie zgodzą się na wasz manifest pokojowy.

— Będziemy czekali jakie dwa lub trzy miesiące, a potem wywołamy w Rosyi olbrzymią rewolucyę społeczną, o jakiej się jeszcze nikomu nie śniło.

— Co pan minister ma na myśli?

— Zmiażdżymy całą burżuazyę. Wywłaszczymy wszystko, nie tylko ziemię, lecz kapitały i nieruchomości. Nie mogąc zgnieść kapitalizmu na całym świecie, zgnieciemy go przynajmniej radykalnie u siebie i zapoczątkujemy nową erę w gospodarstwie światowem. Wiem dobrze, że przeciwko nam mogą stanąć wszystkie rządy. Wiem, że mogą nam Japonię na kark sprowadzić, ale Rosya przez rewolucyę stanie się potęgą, której nic nie zmoże. Nowy duch wstąpił już w masy. Spójrzno pan na naszych krasnogwardiejców. (Czerwona gwardya.) Jak oni się biją. Lepszego wojska nie ma na świecie. Rewolucya dokonała cudów i jeszcze cudów dokona.

— A jakie jest pańskie stanowisko, panie ministrze, wobec idei sformowania gabinetu kompromisowego, o którym teraz tyle się mówi?

— Żadnych kompromisów nie uznaję. Jest tylko jedna partya w Rosyi: socyalna demokracya, którą my reprezentujemy. Reszta, czy to mienszewiki, czy to soc. rewolucyoniści, to tylko sztaby generalne bez armii, grupki politykującej inteligencyi, za któremi nie stoją masy. Jeżeli się wśród nich znajdzie jaki zdolny człowiek, możemy go dopuścić do udziału w rządach, ale tylko wtedy, jeżeli stanie na naszem stanowisku. Żaden gabinet nie jest wieczny, więc i nasz wiecznym nie będzie, ale teraźniejszość i przyszłość należą w tej czy innej formie do naszej partyi.

— Czy jednak będzie można rządzić bez udziału inteligencyi, bez udziału burżuazyi rosyjskiej?

Trockij uczynił pogardliwy ruch ręką.

— I ta burżuazya przyjdzie na nasze podwórko, bo my przecież płacić będziemy.

Pod koniec rozmowy do gabinetu wszedł prezydent ministrów Lenin. Był w dobrym humorze i niezmiernie pewny siebie.

— No — rzekł — prasa francuska zapewne w tej chwili pisze, że zgraja bandytów opanowała Petersburg. Ale niebawem przekonają się wszyscy, że jesteśmy potęgą, z którą cały świat się liczyć musi.

Najbliższa przyszłość okaże, czy spełnią się te nadzieje „bolszewickich“ apostołów pokoju.



Rosyjscy apostołowie pokoju: Leon Trocki



Z frontów bojowych: Uszkodzenia na wieży kościoła w Ponte di Piave, spowodowane pociskami artyleryi





Z frontów bojowych:

Ruiny byłego kościoła w Gheluvelt, na terenie ostatnich walk we Flandryi

Resztki wieży kościoła w Gheluvelt, zburzonego doszczętnie ogniem angielskiej artyleryi.

Adam Wiaryga-Minieski.

MAŁŻEŃSTWO WOJENNE.

Powieść z dni ostatnich

27

Jurek zaczął szukać zapałek, przyczem zrzucił na podłogę kilka książek.

– Panie Jurku, niech pan nie zapala! Ja już i po ciemku znalazłam kapelusz i przyszpiliłam...

Ale Jurek pudełko z zapałkami już znalazł i świecę zapalił. Przy świetle żółtawego płomyka okazało się, że Józia kapelusz włożyła zupełnie krzywo.

– A to ze mnie zgrabna lala! Ładniebym wyglądała! Pa!... panno Tereniu... Do widzenia panie Jurku, do jutra!...

– Ja panią odprowadzę!...

Zawahała się.

– Ale nie pod sam dom, bo...

– Nie, nie, tylko kawałek... Sprowadzę panią z tych krętych schodów i przeprowadzę przez ulicę, bo tutaj tak pusto...

– Dobrze.

– Więc to postanowione... Pani jedzie jutro z Jurkiem do Krakowa? – rzuciła nagle pytanie Teresa – i to nocnym pociągiem?...

– A jakże!

Józia i Jurek byli już za progiem, kiedy Larchówna gwałtownym ruchem zerwała się ze sofki.

– Pani Józiu!... – krzyknęła prawie.

Józia obróciła głowę.

– Pani chciała mi coś powiedzieć?

– Ech nie!... Nic już... Dobranoc. I jak najmilszej zabawy w Krakowie.

– Ja wpadnę jeszcze jutro do pani pożegnać się... Dobranoc.

Zamknęły się drzwi ze stukiem. Teresa sama została w pokoju. I tak głęboko osadzone jej ogromne oczy cofnęły się jeszcze więcej w głąb, widocznie w jakimś namyśle.

– Czego mam im psuć taką niewinną uciechę? – powiedziała po chwili głośno sama do siebie. – Ostrzegać? Po jakiego licha?... Lubię ją, ale nie jestem przecież jej niańką. Jest już także dorosła i... mężatka... Niech sobie radzi... Ja w jej wieku musiałam pracować nietylko na siebie, ale na chorą matkę i na młodszego brata i szłam przez życie przebojem...

Zdmuchnęła dla oszczędności świecę i ułożyła się na sofce.

– A choćby nawet – myślała – może to dla niej... dla nich... Takie śliczne, dobre dzieci... Jak stworzone dla siebie... I po co to cudne maleństwo lazło w łapy Konradowi Żarnickiemu. Po co?... A ja?... A ta biedna Jadzia Witowska... A tyle innych... E!... najlepiej to tak po rosyjsku: napliewat'!... Psiakrew!... jaka ja zmęczona i jak mnie ta głowa łupie... Och! wyspać się... wyspać raz w życiu dowoli...

Przymknęła powieki. Myśli plątały się jej coraz bezwładniej. Zapadła w odrętwienie, które snem nie było jeszcze, ale lada chwila w sen przejść miało.

Z tego półsnu zbudził Larchównę odgłos kroków na schodach i niegłośne, smętne, rzewne nucenie...

To Jurek wracał i przyśpiewywał żołnierską piosenkę:

„W zimnej mogile spocznę ja,
Zostanie po mnie cicha łza...
Polskim żołnierzem zginąłem...
Tyś była moim aniołem..."

– – – – – – – – – – – – – –

W salonie pani Żarnickiej zapalono już światło.

Lola, jak zwykle wyprostowana i sztywna, siedziała na wązkiej kozetce, obok niej na okrągłym, pluszowym taburecie Władek Koszczyc.

Panienka patrzyła nie na towarzysza, ale na perłowe guziczki swojej jasnej bluzki i spokojnym, obojętnym tonem mówiła:

– Już to każdy przyznać musi, że moja bratowa jest niezwykle piękna. Więcej nawet jak piękna, bo prześliczna, urocza... Ma w sobie jakiś nieodparty czar...

– Czyżby aż tak? – ze sceptycznym uśmiechem zauważył Władek. Nie rozumiał celu tej rozmowy o wdziękach pani Konradowej, a pamiętał dobrze o zasadzie, że przed młodą kobietą nie należy się zachwycać nigdy pięknością innej choćby ta była jej siostrą, a nie tylko bratową.

– Pan nie znajduje? Gotowam pana doprawdy posądzić o brak gustu.

– Przysłowie powiada, że nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba... – odparł, wymownem, znaczącem spojrzeniem ogarniając czarną główkę panny.

Usta Loli drgnęły lekkim uśmieszkiem, który po anemicznych wargach przeleciał jak kłująca szpileczka.

– Tak... Ale istnieje inne przysłowie, że „nie zawsze to w myśli, co na języku...

Koszczyc zmieszał się trochę.

– Jakto, pani mnie posądza!...

– Ależ nie... o nie, nie posądzam... Skądże... Ot, tak sobie powiedziałam, bez specyalnej myśli...

– Czyżby podejrzywała, że kocham się w tamtej? – błysnęła Władkowi myśl. – Byłażby zazdrosną?...

Przypuszczenie to, równie pochlebne dla jego męskiej próżności, jak pocieszające dla zamiarów matrymonialnych, sprawiło mu dużą przyjemność.

Mimowoli spojrzał w ustawione naprzeciw wielkie lustro i pogładził swoje starannie wypielęgnowane wąsy.

Krótką chwilę panowała cisza, którą przerwała Lola uwagą:

– Pan Łuniewski zato w zupełności podziela mój gust, przynajmniej jeżeli chodzi o bratową.

– Hm...

– No, może nie?

– Nie wiem, proszę pani.

– Albo pan udaje nieświadomość...

– A eż...

– A może pan jest zdania, że z młodą panną nie można mówić o tem, że się tam komuś mężatka bardzo podoba...

Władek nie wiedział, co odpowiedzieć. Niespokojnie obracał się na taburecie, czując, że go Lola wyciąga na słówka, a nie rozumiejąc, jakie ma ku temu powody i cel.

– Kiedy ja doprawdy nie rozumiem pani...

Lola zaśmiała się cicho.

– Pan mnie uważa za bardziej naiwną, niż jestem. Niechże pan nie będzie nudny, bo pan nie jest moją mamą ani ciocią... Ja i tak wiem, że się pan Łuniewski w mojej ślicznej bratowej podkochuje.

Koszczyc pojął, że nie wykręci się od odpowiedzi, więc zdecydował się powiedzieć to, co w danej chwili myślał istotnie.

– Jeżeli mam być szczerym, to i mnie się tak zdawało, ale...

– Ale co?... – podchwyciła Lola żywo, z tak niezwykłem u niej zainteresowaniem, że gdyby Władek był bieglejszym obserwatorem, to musiałby uczuć mocne niezadowolenie.

– Ale teraz przestało mi się zdawać.

– Dlaczego?

– Widzę, żem się omylił, i to bardzo...

– Z czego pan tak wnosi? – indagowała dalej panna Żarnicka.

– Bo Julek, nie dalej jak wczoraj, wyrażał się o pani Konradowej z pewną, powiedziałbym, niechęcią...

– Co mówił?... Co?... – pytała Lola, nie podnosząc oczu na Koszczyca.

– Ach! On jest taki dziwak... I jego pojęcia o kobietach wogóle...

– Jednakowoż, co mówił?...

– Pani może powtórzyć bratowej i ona słusznie pogniewa się.

– Nie powtórzę napewno. Może pan być spokojny. Ale chcę wiedzieć.

W Koszczycu zwyciężyła wrodzona mu żyłka plotkarska. Czemuż nie ma powiedzieć, jeżeli Lola jest tak ciekawą.

– Jeżeli pani chce koniecznie wiedzieć, to powiem, ale w największym sekrecie... Julek nazwał żonę brata pani kokietką i to bezduszną. Nie ma racyi, oczywiście, ale on jest zdziwaczały...

– Oczywiście... – powtórzyła Lola. Jedna rzecz stała się dla niej w tej chwili zupełnie jasną i niewątpliwą. Józia odtrąciła Łuniewskiego.

Było to dla Loli słabe zadośćuczynienie, ale w każdym razie pewne zadośćuczynienie. Nie zmniejszyło jednak żalu i niechęci do mimowolnej rywalki.

– Zlękła się Konrada, mamy, opinii... – myślała o Józi, broniąc się przed tem, aby jej nie podsuwać pobudek czystszych, szlachetniejszych.

W przedpokoju rozległ się dzwonek.

– Mama wraca... – powiedziała Lola i podniosła się z kozetki.

– – – – – – – – – – – – – – – – –

Józia, lekko zapukawszy, weszła do pokoju, w którym pani Żarnicka, schylona nad głęboką szufladą komody, wybierała bieliznę do prania.

– Czego?... – zapytała krótko, nie patrząc na synową.

– Przyszłam powiedzieć, że dzisiaj, wieczornym pociągiem, jadę do Krakowa, do ojca.

Pani Żarnicka przestała liczyć brudne serwety i utkwiła swoje przenikliwe oczy w Józi. We wzroku jej mignęło coś, jak radosne zdziwienie.

– Jedziesz do ojca?... Nareszcie przypomniałaś sobie o nim. A na jak długo?

Józia zawahała się chwilkę z odpowiedzią.

– Prawdopodobnie na kilka dni, może na tydzień – wyrzekła jakimś trochę niepewnym tonem.

– Tylko?... O, nie potrzebujesz się tak bardzo spieszyć z powrotem. Możesz zostać i dłużej.

Usta Józi zadrgały, ale nie odpowiedziała ani słowa. W milczeniu obróciła się ku drzwiom. W progu zetknęła się z Lolą. Oczy panienki błysnęły. Józia przeszła obok szwagierki, jakby jej nie widziała.

– Czego ona chciała od mamusi? – zapytała Lola, kiedy za Józią zamknęły się drzwi.

– Jedzie dzisiaj wieczorem do Krakowa. Powiada, że do ojca.

Lola drgnęła nerwowo.

– Mamusia jej pozwoliła?

– A dlaczegóżbym bronić miała – odpowiedziała matka z zagadkowym uśmiechem – niech sobie jedzie... owszem, niech sobie jedzie.

– Do ojca, albo do kogo chce – dodała po chwili.

– – – – – – – – – – – – – – – – –

Poczekalnia i zarazem sala restauracyjna kolejowa, do której Jurek wprowadził Józię, natłoczona była pasażerami, oczekującymi odjazdu nocnego pociągu do Krakowa.

Powietrze było ciężkie, duszne, zgęszczone, przesłonięte mgłą tytoniowego dymu.

Dwie zaspane kelnerki, w brudnawych fartuchach, roznosiły gorącą herbatę, wódki, lampki wina i skąpe „wojenne" przekąski.

Najczęściej zmierzały do środkowego, dość długiego stołu. Stół ten, poplamionym obrusem nakryty, obsadzili miejscowi goście, gromadzący się tutaj zazwyczaj co wieczora, po zamknięciu wszystkich lokali w mieście.

Prezydyalne miejsce zajmował burmistrz Łykowa, zarazem właściciel największego sklepu korzennego, koło niego grupowała się „śmietanka" inteligencyi łykowskiej: aptekarz, sędzia, adwokat, prezes Kasztaliński. Osobny „blok" tworzyło kilku niższych urzędników magistrackich i sądowych. Obie te grupy zachowywały się względem siebie z pewną sztywną rezerwą, która topniała i rozluźniała się w miarę wychylanych „kolejek". Pośrednie niejako ogniwo stanowili: okrągły i rumiany pan Adamski, znany wyga, piecześniarz i synekurzysta i Władek Koszczyc, który ujmował sobie wszystkich niefrasobliwym humorem i miłem obejściem „dobrego chłopca".

Na uboczu nieco siedział Łuniewski, małomówny, chmurny, z błyskami ironii w swoich lekko przymrużonych oczach krótkowidza.

– Powiadam wam, moi panowie – perorował burmistrz – że w naszem mieście dzieją się łajdactwa!... Poza mojemi plecami dzieją się łajdactwa!

Grzmotnął pięścią w stół tak silnie, że trochę czerwonego grzanego wina wylało się z wysokiej szklanki na obrus. Aptekarz, wytworny, pachnący i dbały niezmiernie o dobre maniery, skrzywił usta z niesmakiem i odsunął nieco swoje krzesło od tak energicznie gestykulującej „głowy" miasta.

– On się dlatego tylko tak gniewa, że dzieją się poza jego plecami, więc nic z tego skorzystać nie może... – szepnął pan Mizerski do ucha panu Kożuchowskiemu.

– Szajka jakichś nieznanych, tajemniczych spekulantów chce nas ogłodzić, panowie!

– O znanych nie mówi się!... – szepnął znowu pan Mizerski tym razem do pana Wichury.

– Naprzykład słonina?! Panowie! Gdzie podziała się w Łykowie słonina?!... Albo ocet?... Nigdzie octu dostać nie można!... Jaj brakuje!... Łotry!... Spekulują na naszych żołądkach!...

Po niektórych twarzach przemknęły dyskretne

uśmiechy. Chodziły wieści, że pan burmistrz, czyli, jak lubił się tytułować pan prezydent, umiał także niezgorzej spekulować i że pewne, najbardziej poszukiwane towary ulatniały się nagle z jego sklepu, jak kamfora, nie wiadomo dokąd.

— Jakaś banda, doskonale zorganizowana, wywozi z naszego miasta, ba! z całej okolicy, środki żywności!... Ograbiają nas!...

— Żydzi... — bąknął ktoś.

— Niemcy... — poddał drugi.

— Żydzi, Niemcy, Niemcy, Żydzi... Ale to zanadto ogólnikowe, nieosobowe... Te łajdaki muszą przecież mieć jakieś nazwiska.

— Mają je z pewnością — potwierdził aptekarz.

— A czy nie przyszło też panom nigdy do głowy zapytanie, co właściwie robi w Łykowie pan Potyrowski?

Pytanie to wypowiedział Władek Koszczyc, z poważniejszą niż zwykle miną.

Burmistrz i jego towarzysze spojrzeli po sobie. Kożuchowski poruszył się niespokojnie na krześle i z ukosa popatrzył na Władka.

— Pan Potyrowski... — wyrzekł wahająco Kasztaliński, mały, siwy, szczupły człowieczek, rażące przeciwieństwo do swej tęgiej, zamaszystej małżonki — moja żona chwali go bardzo.

— Bo to bardzo godny człowiek... — wtrącił pospiesznie Kożuchowski.

— Aha, pańska żona chwali go także... — zauważył ze znaczącym uśmiechem aptekarz — no i prawdopodobnie córka również...

— Zdaje się jednak, że ja i mój kolega moglibyśmy o tym panu opowiedzieć pewne ciekawe rzeczy... prawda, Julku?...

Wszystkie spojrzenia skierowały się na Łuniewskiego, ale on nie odpowiedział, jakgdyby zupełnie nie słyszał pytania.

Oczy nagle szeroko otwarte, natężone, wbił w postać kobiecą w popielatym płaszczyku i ciemnozielonej czapeczce, osłoniętej czarną siatkową woalką.

Koło tej kobiety stał młody legionista, podawał jej krzesło, patrzył na nią rozbłysłemi, siwemi oczami i mówił coś z poufałym, przyjacielskim uśmiechem.

Za wzrokiem Łuniewskiego poszli i inni. Burmistrz mlasnął pełnemi, czerwonemi wargami.

— Szykowna jakaś facetka!... Kto to taki... Chyba nie tutejsza...

— Jakto, pan prezydent nie zna? To przecież młoda pani Żarnicka.

— Aha! Więc to ta, która...

— Właśnie, ta sama...

— Uuum!... Cukierek!...

— Ale z pieprzykiem!...

— Panowie, panowie... — mitygował Koszczyc.

— Widocznie jedzie do Krakowa.

— Ale, że ją też nikt z rodziny męża nie odprowadza...

— A cóż to za jeden, ten legionista? Może jakiś krewny?... — zapytał sędzia dobrodusznie.

Zabrzmiał krótki, ale wymowny śmiech.

— Krewny?... Może brat!... Chyba od Adama i Ewy!... Przypatrzno się sędzia, jak mu się oczy jarzą!...

— Bierze od niej portmonetkę... Jadą widać razem!...

— Taki smarkacz!...

— A cóż to głupia ona szukać sobie starego!

— Chciałbym być na jego miejscu.

— No, myślę!... Tylko wiesz pan, panie mecenasie, żeby to tak usłyszała pańska żona...

— Mąż przy wojsku!... Pięknie!... A młoda żoneczka jeździ sobie z legionistami...

Władek zmarszczył niechętnie brwi. Sam plotkował nieraz o Józi, ale teraz te niewybredne dowcipy raziły go. Bądź co bądź, jest to przecież mężatka, bratowa Loli.

— Proszę panów — wyrzekł dobitnie — zwracam uwagę, że mówicie panowie o pani Konradowej Żarnickiej...

Słowa Koszczyca wywołały lekką konsternację.

— Plotki zostawić babom — mruknął sędzia.

— A któż to robi plotki?... Ot, mówi się jak zwykle, w swojem męskiem towarzystwie — bronił się aptekarz.

— Lepiej czasem nie mówić — zauważył Władek.

Po nieświeżej bieli obrusa pociekła ciemnowiśniowa struga. To pękł kieliszek, z którego Łuniewski pił wódkę.

— Patrzcie... — syknął Julian do Władka — co za obrońca uciśnionej niewinności!...

— A cóż ty, chłopie, masz taką minę, jakbyś się miał wściec za pół godziny! — rzucił półgłosem Koszczyc.

— Panno Stasiu! Wódkę!... — huknął Łuniewski na całą salę.

Jurek tymczasem usadowił Józię, jak mógł najwygodniej, umieścił koło niej na ziemi małą ręczną walizeczkę i rzekł:

— Teraz idę kupić bilety.

— Niech pan kupi i dla mnie... — podawała mu portmonetkę.

— Pani zaczeka tutaj.

— Naturalnie... Tylko proszę wracać prędko, bo mi tak jakoś nieswojo w tym tłumie — uśmiechnęła się słodko.

Ogarnął ją promiennym wzrokiem.

— Uwinę się „pieronem".

Ani jedno drgnienie ich młodych twarzy nie uszło uwagi Łuniewskiego.

Józia spostrzegła go dopiero wtedy, kiedy po odejściu Jurka, zaczęła się rozglądać po sali.

Koszczyc ukłonił się, Julian udawał, że nie widzi młodej kobiety, Władek przysunął się bliżej do kolegi i trącił go lekko.

— Julek... Żarnicka...

— Widzę... — odburknął.

— Jakto? I nie kłaniasz się?...

— Dajże mi święty spokój z babami...

Władek pokręcił głową.

No, no — powiedział tylko, ale jednocześnie pomyślał:

— To on musiał od niej dostać porządnego prztyka w nos.

Józia, zmieszana i obrażona, wzrok utkwiła w brudnej, zadeptanej, poplutej podłodze poczekalni. Czuła, że siedzi jak „na cenzurowanem" i niecierpliwie czekała powrotu Jurka z biletami.

Przeniknęła jej myśl, że Łuniewski zazdrosny jest o Jurka, że pewnie wyobraża sobie...

— A niech sobie myśli co chce. Co mnie to obchodzi. Prześladował mnie swoją miłością, a teraz zachowuje się jak ostatni gbur. Dużo sobie robię z jego ukłonu. Jurek... o Jurek to zupełnie co innego.

— A Konrad?! — załopotało jej nagle w mózgu — co Konrad powie o tej podróży!... Może będzie niezadowolony..., może będzie bardzo zły.

Zatrwożyła się i zdumiała nad własną nierozwagą. Że też jej to wcześniej nie przyszło do głowy.

Więc może wrócić?... To byłoby najrozsądniejsze, ale tak się nie chce... tak się nie chce...

— Proszę pani, mam już bilety — zabrzmiał jej nad uchem głos Jurka.

Podniosła głowę i spojrzała na legionistę. Nie, niepodobna się cofać... Jurek pomyślałby, żem zwarjowała... A zresztą...

— A zresztą nie robię przecież nic złego — uspakajała się. — Jadę do Krakowa, do ojca, a że Jurek jedzie ze mną... To i cóż... Dawny znajomy i taki poczciwy... i taki dzieciak jeszcze.

— Kupił pan? — rzuciła mu zupełnie wesołym tonem.

— A jakże... — podawał jej portmonetkę.

— Ale trzecią klasę?

— Trzecią, trzecią, tak jak pani kazała.

— A ile bilet do Krakowa kosztuje? — zapytała, biorąc portmonetkę z jego ręki.

Jurek bąknął w odpowiedzi niewyraźnie parę słów i zaczął zawzięcie majstrować coś około rzemienia swego plecaka. Dźgał z wewnętrznego lęku, aby Józia nie zechciała skontrolować zawartości sakiewki i nie dowiedziała się przedwcześnie, że z niej nie ubył ani halerz.

Ale Józia nie należała bynajmniej do osób praktycznych i systematycznych i portmonetkę schowała do torebki, nie otwierając.

— Jak długo jeszcze do pociągu?

— Już powinien być.

— W tej chwili do sali wszedł portyer i gromkim głosem jął wykrzykiwać:

— Proszę państwa wsiadać!... Pociąg do Krakowa!... Odjazd za minut pięć!

W sali wszczął się gorączkowy ruch. Pasażerowie zwartą masą ruszyli ku drzwiom, tłocząc się jeden przez drugiego, nadeptując sobie na nogi i obijając boki pakunkami.

Jurek pochwycił walizeczkę Józi, ujął młodą kobietę pod rękę i zręcznie przeprowadził ją na peron przez tłum przejezdnych.

Poczekalnia opróżniła się. Pozostały w niej tylko zmęczone, zaspane kelnerki i otyła, sapiąca bufetowa i pozostali goście, przy długim, środkowym stole.

Łuniewski przeprowadzał wzrokiem młodą parę, a oczy pociemniały mu tak, że wydawały się prawie czarne.

\- - - - - - - - - - - - - - - - - - -

— No, tutaj pojedziemy spokojnie i wygodnie aż do samego Krakowa — mówił Jurek, umieszczając na siatce pakunki.

— A jeżeli ktoś wsiądzie po drodze?

— Nie wsiadzie...

— A skąd pan wie?

— Tak się już ułożyłem z konduktorem. Nikt nie wejdzie. Będzie pani mogła się przespać...

— A to doskonale! Wyborny z pana opiekun — uśmiechnęła się pogodnie Józia.

W myśli jej nie zmajaczył nawet cień jakiegoś złego podejrzenia. Czuła, że Jurkowi zupełnie zaufać może i to sprawiało jej ogromną przyjemność.

To tak dobrze ufać komuś bezwzględnie, nie obawiać się i czuć koło siebie troskliwą, a bezinteresowną opiekę.

Ten mały, słabym płomykiem gazowym oświetlony przedziałek trzeciej klasy, wydawał się jej rozkosznem schronieniem, do którego nie może wtargnąć pani Żarnicka, a Jurek miłym i bliskim niby brat.

Wypowiedziała głośno swoje wrażenie.

— Bardzo tutaj dobrze i wygodnie... Wie pan co, panie Jurku, jaka to szkoda, że pan nie jest moim bratem. Zawsze marzyłam o tem, żeby mieć brata.

Złote iskry zapaliły się w siwych źrenicach legionisty. Długie, przeciągłe spojrzenie zatopiło się w cudnych, niebieskich oczach młodej mężatki — spojrzenie bardzo serdeczne i trochę smutne.

Jurek nie odpowiedział nic i rozpląławszy sznury plecaka, jął wyciągać stamtąd jakieś paczuszki.

Józia rozgościła się w przedziale, zdjęła czapeczkę, płaszczyk, rękawiczki, przygładziła rozwichrzone trochę włosy i uchyliła do połowy szybę okna, aby odświeżyć chłodnem powiewem nocnem duszną, parną atmosferę wagonu.

Pociąg mknął już z jednostajnym turkotem kół. W powietrzu, poza oknem, migały snopy złoto-czerwonych iskier.

Młoda kobieta usiadła tuż przy oknie, głowę oparła na swoim, zawieszonym na haku, płaszczyku i rozmarzonym głosem powtórzyła:

— Dobrze mi... Bardzo lubię jechać pociągiem, a dzisiaj szczególnie.

— Ale czy pani przypadkiem nie głodna? — zagadnął trochę nieśmiało Jurek, spoglądając na wyjęte z worka pakuneczki.

Roześmiała się głośno, szczerze, swobodnie, wesoło. Dawno już tak się nie śmiała.

— A wie pan, że doprawdy zaczynam być trochę głodna! Ale cóż robić! Muszę się obejść smakiem i ślinką aż do Krakowa. Nie wzięłam ze sobą nic na drogę.

Jurek zacisnął mocno zęby, żeby nie wykrzyknąć z gniewem.

— Jakto?! To oni nawet nie pamiętali o tem, żeby pani dać kawałek chleba na drogę?! Jak oni panią traktują?!

Zdławił jednak w sobie oburzenie i nie wypowiedział głośno żadnej uwagi. Pospiesznie tylko począł rozwijać papiery, z pod których ukazały się kawałki chleba obłożone wędliną, serem, jajami ugotowanemi na twardo.

Widzi pani, a mnie poczciwa Terenia tyle przygotowała zapasów, że dla nas obojga wystarczy, jeżeli pani będzie tak dobra i zechce... Pani mi nie odmówi, prawda?

Józia mimowoli rzuciła spojrzenie na apetyczne kąski. Nie jadła tego dnia kolacji i głód zaczynał jej dokuczać.

— Nie, nie będę pana przecież objadała. Pan pewnie także głodny.

— Jeżeli pani jeść nie będzie, to ja się tego nietylko nie tknę, ale wszystko za okno wyrzucę!

— Ależ to byłoby straszne marnotrawstwo!

— Proszę mnie od niego powstrzymać! No, pani Józiu, bo się na seryo okropnie, okropnie pogniewam! — groził energicznie Jurek.

— Ejże! Doprawdy? Potrafiłby pan? Na mnie? — milutko, trochę zalotnie zajrzała mu w oczy.

Twarz chłopca oblała się nagle płomieniem rumieńca. Jurek odwrócił głowę od Józi.

\- Co? Już się pan gniewa? W takim razie zabieram się do jedzenia, bo się boję. Ale pan będzie tego żałował, bo panu bardzo mało zostawię!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Legiony przed wymarszem w pole.

Bakończyce, w przeddzień wymarszu.

Za parę dni I. pułk artyleryi polskiej będzie już na kresach Rzeczypospolitej, tam, gdzie zdobyła swe wawrzyny „Zelazna brygada", gdzie szlak jej bohaterskich walk znaczą kurhany mogił polskich.

czy Stochodem. Dywizyon z dwu sześciopolowych bateryi.

Ruch na Błoniach duży, słychać rozgwar padających komend.

Wtem okrzyk: „Major jedzie!" Po bateryach przelatuje komenda: „Baczność!"

Od Przemyśla zbliża się komendant pułku, major





Legiony przed wymarszem w pole:

Major Zagórski ze sztabem odbiera raport od porucznika Bolda, komendanta dywizyonu „polówek".

Kapitan Łapicki, komendant dywizyonu haubic zdaje przed frontem raport majorowi Zagórskiemu.

Na gorączkowych przygotowaniach płyną przeto dni ostatnie.

Dziś przegląd pułkowy. 30 listopada, pamiętny dzień. Z za chmur porannych wzbija się słońce. Wita rewię.

Na Błonia nad Sanem wali się pułk. Na czele dywizyon haubic pod wodzą kapitana Łapickiego pierwszą baterye wiedzie por. Sroczyński z fantazyą i humorem, druga sunie tuż zaraz. Nowe działa, uprząż i wozy... z nowa bowiem wszystko trzeba było formować.

Na odgłos komendy zajeżdżają na miejsca.

Za niemi „polówki" z pogardą przez haubice „fufkami" zwane. Ale „fufki" mają swoją dumę bo to już weterany „fufkały". nieraz na Moskali. Por. Bold je prowadzi, jak w Karpatach i nad Styrem,

Włodzimierz Zagórski, wraz z adjutantem podpor. Ramińskim i sztabem, jedzie oglądać swe dzieło, z którego cieszyć się może. W paru tygodniach ze strzępów, z resztek dźwignął pułk na nogi. To też gdy się zważy trudności rozliczne, major może być zadowolony i dumny, tak samo, jak i jego podkomendni.

Major zaczyna od haubic. Raport komendanta, a potem przegląd szczegółowy. Tu uwaga, tam pouczenie, często pochwała; defilada armat przed komendantem. a potem krótkie słowa od których podkomendni krasnieją: „Dziękuję, bardzo dobrze!" To samo przy dywizyonie „polówek".

Jeszcze chwila i przegląd skończony... A za parę dni już na posterunku... *K. G.*

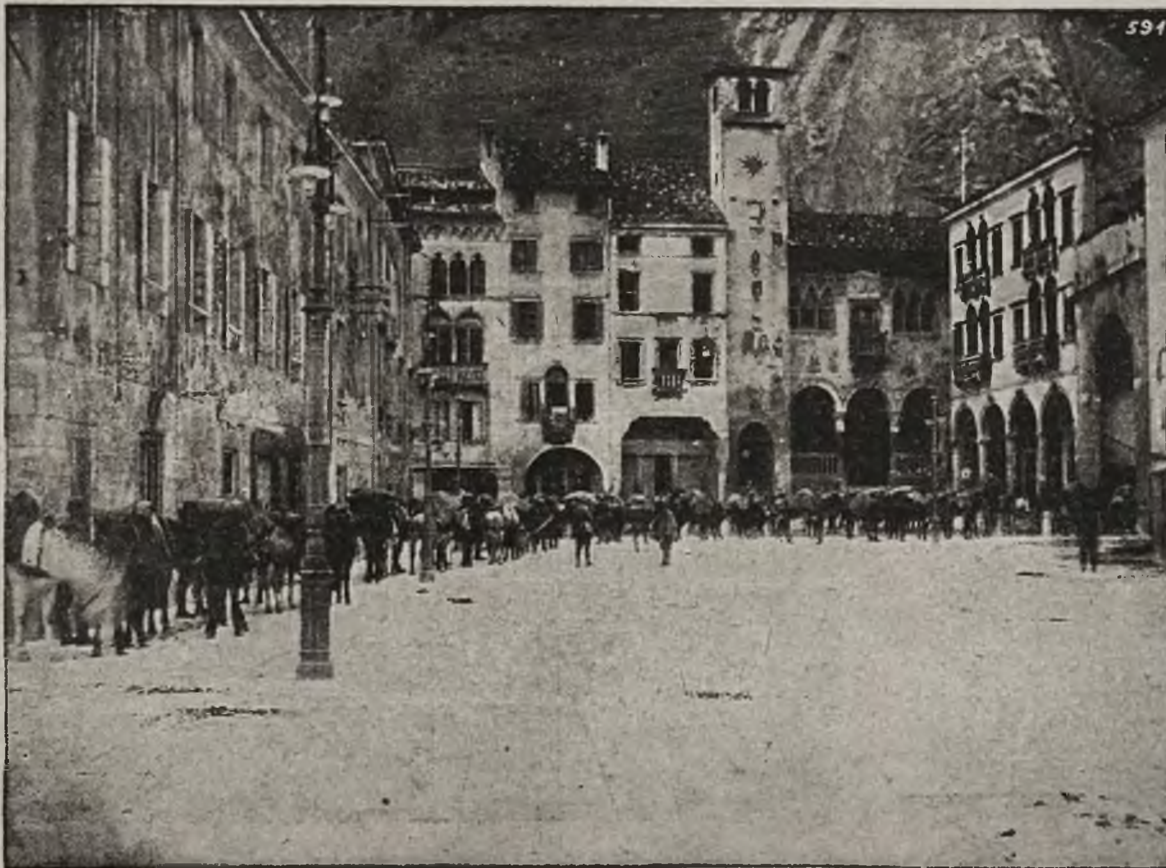
„Powrót Odysa" na scenie teatru krakowskiego.

Teatr krakowski, wierny swej tradycyi i czujnie strzegący praw swego pierwszeństwa do dzieł twórcy „Wesela", oddał pamięci jego w dziesiątą rocznicę śmierci hołd pozgonny wystawieniem jednego z ostatnich, dotąd nie granych dramatów: „Powrotu Odysa". O dziele samem krytyka wypowiedziała dawno swój sąd, uznając je za jeden z najcelniejszych utworów z cyklu t. zw. dramatów antycznych Wyspiańskiego.

Wykonanie tego dzieła postawiło artystów wobec zupełnie nowych zadań, z których artyści krakowscy, jak konstatuje głęboki znawca świata klasycznego, prof. Sinko, wywiązali się zwycięsko. Znaleźli nowe środki ekspresyi, wymagane przez typ tragedyi realistycznej, a stylizowanej antycznie i stworzyli na scenie dzieło, odpowiadające intencyom utworu. Zasługa to przedewszystkiem pana Sosnowskiego i jako odtwórcy Odysa, którego rola wypełnia sama cały dramat i jako reżysera, który potrafił wszystkim swym akompaniatorom narzucić



Z frontów bojowych: Zburzony przez Włochów most kolejowy na rzece Tagliamento pod Codroipo. (Fot. Bufa)



Z frontów bojowych: Wojska niemieckie na rynku w Vittorio Fot. Bufa

czy zasuggestyonować ów jednolity styl gry. Stanął przed nami „boski cierpiennik“ w masce, wzorowanej na sławnym posągu Odysa w Wenecyi (pałac Dożów) i nietylko grał, ale naprawdę był owym królem żebrakiem, który wyrzekłszy się swego „bohaterstwa“, przyszedł tylko jeszcze raz zobaczyć dym chaty rodzinnej i uratować syna, ale w kontakcie z rzeczywistością uległ znowu popędowi krwi do krwi; stał się znowu zabójcą i wybawienia z żądzy czynów musiał szukać w śmierci.

Nieodrodnym synem takiego ojca był Telemak w interpretacyi p. Węgierki, artysty, który przebojem zdobył sympatye krakowskiej publiczności i usprawiedliwia je każdym występem, a już najbardziej tym ostatnim. Humor prawdziwie odysseiczny wnieśli na scenę obaj pasterze (pp. Szymborski i Brandt) niemniej jak żebrak Arnajos (pan Noskowski). Ponurą sylwetkę korsarza tafijskiego zarysował trafnie p. Jarnński, a p. Żytecki nadał Laertesowi zawziętą wielkość jakiegoś starożytnego Leara. Gachowie (pp. Żurski, Brzeski, Rdzawicz, Puchalski, Tadłowski, Kośnik), poubierani według lukańskiej wazy z British Muzeum, wnieśli w ponurą, parną atmosferę tragedyi dużo życia, młodzieńczego junactwa i zuchwałości, a pp. Bednarzewska (Penelopa) i Kamińska (Melanto) wykorzystały z wdziękiem drobne role niewieście.

Osobna wzmianka należy się kostyumom Melanto i jej dwóch towarzyszek. Skopiowano je wiernie z archaicznej wazy attyckiej, zwanej wazą François. Do archaicznego stylu figur tej wazy dostosował p. Pronaszko i inne kostyumy, tak osób realnych, jak fantastycznych (Kalipso, Harpia, Syreny). Wiadomo, że Wyspiański, gdzie mógł, ściągał na scenę kopie dzieł sztuki. Dlatego wolno twierdzić, że usiłowania pp. Sosnowskiego i Pronaszki, skierowane do takiegoż kopiowania masek, fryzur, kostyumów i gestów z archaicznej sztuki greckiej, znalazłyby pełną aprobatę poety. To też szkice i fotografie postaci i grup z przedstawienia „Powrotu Odysa“ mogą zająć miejsce w albumie podobnych szkiców kostyumowych, skomponowanych do dawniejszych sztuk przez samego Wyspiańskiego. To samo można powiedzieć o dekoracyi epilogu, opartej o motywy sławnego obrazu eskwilińskiego, przedstawiającego wejście do Hadesu. Dekoracya podwórza folwarcznego i świetlicy w domu Odyssa nie raziły też zwykłym „greckim“ szablonem i nie kłóciły się ze stylem tragedyi, a to w dzisiejszych czasach musi wystarczyć.

Dyrekcya teatru zrobiła więc wszystko, co było w jej mocy, by dziesiątą rocznicę śmierci Wyspiańskiego uczcić wystawieniem jego ostatniej tragedyi w sposób godny tradycyi krakowskich i wystawiła ją z całym pietyzmem i dostępną świetnością.





Druga baterya haubic na „baczność“. Legiony przed wymarszem w pole: Haubice pierwszego pułku artyleryi w defiladzie



„Powrót Odysa“ na scenie teatru krakowskiego Dekoracya dwóch pierwszych odsłon

Z frontów bojowych.

Gdy na froncie wschodnim zostało już zawarte dziesięciodniowe zawieszenie broni, na zachodzie i na froncie włoskim z tem większą zaciętością toczą się dalsze walki. W dniu zawarcia zawieszenia broni z Rosyą, rozpoczęto nową ofenzywę przeciw Włochom, o której komunikat naczelnej komendy armii z dnia 6. b. m. donosi:

„Po prawie czterotygodniowych trudnych walkach w górach, podczas których w listopadzie wzięto nieprzyjacielowi przeszło 11 000 jeńców i znaczną zdobycz, wojska grupy bar. Conrada, pomimo ciężkiej górskiej zimy, wznowiły ofenzywę na płaskowyżu Siedmiu Gmin. Po gruntownem przygotowaniu, dywizye XI-tej armii przystąpiły dnia 4. grudnia do ataku na potężny masyw Meletta. Mimo zaciętej obrony zdobyły warownie Monte Badelecche, Monte Ponderecar, Monte Miela, a także i Monte Meletta. Dziś przed południem wydarto nieprzyjacielowi Monte Zomo. Walka toczy się dalej. Wczoraj i dziś wzięto do niewoli przeszło 9 000 jeńców, w tem dwóch brygadyerów. Zdobyto przeszło 40 dział i mnóstwo karabinów maszynowych, miotaczy min, granatów i inny materyał wojenny. O ile wiadomo, nasze własne straty są małe, dzięki doskonałemu współdziałaniu artyleryi“.

Również na froncie zachodnim w dniu 6. b. m.

Anglicy ponieśli dotkliwą porażkę, o której urzędowy komunikat niemiecki z dnia 7. b. m. donosi:

Na południe i na południowy zachód od Moeuvres wojska nasze zdobyły szturmem rowy angielskie i posunęły się naprzód aż poza drogę, prowadzącą od Bapaume do Cambrai. Pod działaniem naszych ostatnich powodzeń w ataku i pod nieustannym naciskiem naszym od północy i wschodu nieprzyjaciel między Moeuvres a Marcoing opróżnił swe najbardziej wysunięte stanowiska i cofnął się na wzgórza na północ i wschód od Flesquieres. Napierając ostro za nieprzyjacielem wzięliśmy wsi Graincourt, Anneux Cantaing. Noyelles i wzgórza pokryte lasem na północ od Marcoing. Na szerokości 10 kilometrów posunęliśmy nasze linie na głębokość 4 kilometrów. Nieprzyjaciel cofając się, o ile mu czas na to starczył, zniszczył miejscowości ogniem i rozsadzeniami. Gruzy tych wsi i bezcelowe zniszczenie w mieście Cambrai, od którego nieprzyjaciel znów znalazł się daleko, są śladami, które na długie czasy na ziemi francuskiej pozostawili Anglicy po swej walce o przełom pod Cambrai, którą to walkę rozpoczęli z tak wielkiemi nadziejami, a która się zakończyła ciężką klęską. Straty, jakie nieprzyjaciel poniósł w ostatnich dniach, szczególnie w lesie Bourlon, są nadzwyczajnie wysokie. Liczba jeńców, przywiedzionych z walk pod Cambrai podwyższyła się na przeszło 9000, zdobycz w działach na 148, w karabinach maszynowych na 716.

Tak więc, gdy na wschodzie trwa już zawieszenie broni i toczą się już układy pokojowe, na zachodnim froncie rozgorzały nowe walki, nie wróżące bynajmniej rychłego końca tych krwawych zapasów. W tym ostatnim, rozstrzygającym okresie kampanii, najzawziętszą stała się walka o wybrzeże flandryjskie, doskonale ufortyfikowane i mogące kiedyś służyć za podstawę do wymarzonej wyprawy na Anglię.

Obecny niemiecki front na tem wybrzeżu wynosi około 40 km., zaczyna się od granicy holenderskiej, a kończy się pod Westende na północ od Nieuport. Olbrzymie działa, najcięższego kalibru usadowiły się na tym brzegu morskim, w zakrywkach z żelazobetonu tak silnego, że nawet najcelniejsze strzały z 38 cm. dział, umieszczonych na angielskich





„Powrót Odysa" na scenie teatru krakowskiego

Scena z trzeciej odsłony. Zalotnicy próbują łuku Odysowego (Pp. Sosnowski (Odys), Nosowski, Pucinski, Tarłowski, Mysłowski, Żelski (z łukiem) i Węgierko (Telemak).

Scena z czwartej odsłony. Syreny kuszące Odysa. (Pp. Drzewiecka, Zaborska i Łuszczkiewiczówna, w głębi Odys p. Sosnowski).





Szczątki zestrzelonego aeroplanu włoskiego. **Z frontów bojowych:** Włoska bomba powietrzna. (Woj. kwat. pras.)



Z frontów bojowych: Włoszki, zajęte sortowaniem odzieży i uzbrojenia, pozostawionego przez uciekającą armię włoską. (Fot Bafa.)

Erika Morini.

Erika Morini, której gra skrzypcowa wzbudziła w Wiedniu i Budapeszcie ogólny podziw, wystąpi w Krakowie w niedzielę dnia 16 grudnia bieżącego roku, pozyskana na jeden koncert przez „Krakowskie Biuro Koncertowe". Zgodne relacye całej prasy pełne entuzyazmu, stwierdzają że w osobie 21 letniej Eriki Morini zjawia się niebywały od czasów Paganiniego i Sarasatego fenomen. Waryacye Paganiniego są też jej popisową kompozycyą. Technika jej jest tak zagadkowa, dojrzałość interpretacyi tak głęboka, że Erika Morini po pierwszym występie zeszłorocznym we Wiedniu stała się sensacyą w kołach świata muzycznego.

Po jednym z jej koncertów tegorocznych we Wiedniu, znakomity skrzypek Huberman pod silnem wrażeniem jej gry pisał: „Młodziutka Erika Morini jest cudownem dzieckiem nie w tem pospolitem, zbanalizowanem znaczeniu tego słowa, lecz w jego



Erika Morini.

pierwotnem znaczeniu, gdyż to wywiera wrażenie istnego cudu, jeżeli dziewczątko opanowuje dzieło, jak Mozartowski koncert A Dur nietylko technicznie, lecz wprost stylowo i to z taką doskonałością, że zapomina się przytem o jej młodocianym wieku. Posiada ona wszystkie właściwości najsławniejszych dzieci cudownych które dotychczas słyszałem, ale przewyższa je jednak pod względem poczucia stylu".

monitorach, nie zniszczą tych siedlisk. W podobny sposób są umocnione schroniska dla załóg armatnich. Olbrzymie rury armat dadzą się łatwo obracać na wszystkie strony. Przy najwyższej elewacyi pocisk z łatwością dosięga wysokości dwa razy tak wielkiej, jak góry Himalaja; można sobie tedy wyobrazić, jaką siłę przebijającą te pociski mogą rozwinąć, trafiając w angielski dreadnought. Te wielkie bateryе oczywiście mogą strzelać nie tylko na morze, ale dzięki swej obracalności, także w prawo, gdyby Anglicy zaatakowali od strony Holandyi, w lewo i w tył, gdyby próbowali tamtędy się zbliżyć. Wszak wiadomo, że działa te potrafiły szerzyć popłoch nawet aż w Dunkierce. Nic też dla Niemców nie byłoby bardziej pożądanem, jak próba Anglików wylądowania na wybrzeżu flandryjskiem. Anglicy istotnie swego czasu wykonywali u siebie nawet ćwiczenia próbne do takiego lądowania, ale ostatecznie skończyło się tylko na próbach.

Tak więc na tym pasie 40 kilometrowym skupiają się najpiękniejsze nadzieje militaryzmu niemieckiego, to też nic dziwnego, że z chwilą, gdy zanosi się na pokój powszechny, niemieckim aneksyonistom żal się robi już nie tyle samej Belgii, ile jej wybrzeża morskiego.



Z frontów bojowych: Pobojowisko na brzegu rzeki Tagliamento pod Codroipo (Fot Bafa)

Piotr Zaccone

Tragiczna noc

Tłumaczyła z francuskiego: Marya Segeny.

3

— Ah! Nauka! Praca! — szeptał z goryczą — i cóż mi z tego? Ileż godzin ciężkich przetrawiłem nad nią, badając, ucząc się, szukając i stoję nad tem samem, co przed latami. Umysł mój wysechł w tych trudach niewdzięcznych i bardziej może nieświadomy jestem głębokich zagadnień życia, niż pierwszy lepszy głupiec, zajęty tylko troską zdobywania łatwych rozkoszy.

Po chwili jednak gorączkowe podniecenie, które oderwało go od pracy, gasnąć zaczęło, smutek osiadł na zmęczonej twarzy, ciężkim krokiem powrócił do stolika i ujawszy w dłonie rozpalone czoło, zamyślił się głęboko.

Bo i jakież było życie jego dotąd? Już od pierwszej chwili istnienia, ciężar nieokreślonego smutku i przygnębienia zniszczył w nim bujne porywy młodości i wiary, uczynił z niego człowieka przedwcześnie dojrzałego, przykuwając do tych starych ksiąg, w których widział jedyny cel przyszłości swojej i w których zasklepił się, zapominając o świecie całym! Czyż przez nie tylko mógł poznać życie i zrozumieć jego głębie? Martwe słowo miało być silniejsze niż czyny i energia ludzka? Czuł, jak z każdym rokiem, strawionym w tej pracy, wzmagał się ból w nim ukryty, zabijający wszelkie odruchy zewnętrzne życia, wywołując jakiś niepokój nieokreślony i przekonanie, że przecież poza temi staremi księgami i wspomnieniami przeszłości, któremi się otoczył, jest jeszcze coś bardziej może wartościowego — bo życie samo, to życie, którego tajemnicę znaleźć chciał w zagadnieniach śmierci. On, człowiek, cząstka tej przeolbrzymiej, potężnej natury — w stęchliźnie i prochu szukał odpowiedzi na dręczące go pytania! Nie! On z tem wszystkiem pożegnać się musi, nie w tył, lecz naprzód mu iść potrzeba! Czuje od pewnego czasu coraz silniejsze i natarczywsze wołanie życia, które się suchemi, martwemi słowami uśpić nie dało i teraz żywiołową falą przepływa przez jego ciało, tamując oddech w piersiach, przyspieszając bicie serca, tak powolne dotąd!

Młody człowiek opuścił dłonie na stół, podniósł głowę i spojrzał przed siebie. Z twarzy jego znikł smutek i gorycz piętnująca ją przed chwilą. W ciemnych oczach gorzał zmartwychwstały blask nadziei i pragnienia życia.

— Tak! — szepnął, oddychając głęboko — Dosyć tej wegetacyi, tej szarzyzny, która tłumiła we mnie siłę, zabijając powoli! Ja do tej pory nie żyłem jeszcze! Pragnę powietrza, przestrzeni, słońca! Pragnę czynu! Pragnę świadomości mojego istnienia!

Był tak zajęty swojemi myślami, że nie słyszał, iż już dwukrotnie ktoś pukał do drzwi dosyć niecierpliwie.

Pukanie powtórzyło się raz jeszcze, tym razem tak silne i energiczne, że w końcu zwróciło jego uwagę.

Któż mógł przychodzić w tej dziwnej, przełomowej dla niego chwili. Mimowoli przypomniała mu się scena z Fausta! Czy nie było tu pewnych analogii? Ten sam nastrój duchowy, godzina ta sama!

— Jestem podniecony i wyobraźnia moja galopuje w najlepsze. — pomyślał, uśmiechając się.

— Proszę wejść! — zawołał, nie mogąc się oprzeć pewnemu wzruszeniu, które go nagle opanowało.

Do pokoju wszedł mężczyzna. Młody człowiek nie widział go nigdy, spojrzał więc na nowoprzybyłego z nieukrywaną ciekawością, tembardziej, że wygląd jego miał w sobie coś niezwykłego. Włosy jasno rudawe dziwnie odbijały od zielonawych oczów, błyszczących metalicznym blaskiem. Nos jego prosty, zakrzywiony cokolwiek u końca, dotykał wąsów, krótko przystrzyżonych. Na wąskich i cienkich ustach błąkał się ironiczny uśmiech, nadający całej twarzy cechę zgryźliwości i drwiącej nieufności. Twarz bladą nie ożywiał blask życia, które, zda się, skoncentrowało się całe w głębokim wyrazie oczów i dziwnym uśmiechu tych ust wąskich.

Z postawy czynił wrażenie człowieka muskularnego i silnego, wytrwałego na zmęczenie fizyczne.

Wiek jego nie dał się dokładnie określić. Mógł mieć lat czterdzieści, albo i więcej.

Podczas, kiedy młody człowiek z uwagą obserwował przybysza, tenże swobodnym krokiem podszedł do niego, mówiąc głosem, wyrażającym silne zadowolenie:

— Witam doktora Franka!

— Panie! — szepnął młody człowiek zmieszany.

Ale nowoprzybyły nie dał mu dokończyć. Uścisnął silnie jego rękę i zapytał:

— Czy nie przeszkadzam panu? Pan studyował, zdaje mi się.

— Jestem już zmęczony.

— Oh! Tak! Zapewne! Piszą książki i każą nam nieomylnie wierzyć w to wszystko, co w nich wydrukowane. Ale przypuszczam, że jest pan dostatecznie uświadomiony, aby nie mieć iluzyi w tym kierunku.

Doktór Frank zdziwiony był szczeremi słowami nieznanego gościa, którego ton pewny siebie podrażnił go cokolwiek.

— Wybaczy pan — rzekł zimno — ale chciałbym poznać..

— Nazwisko moje? — przerwał nieznajomy.

— Oczywiście.

— Nazwisko moje nie objaśni pana. — wyrzekł niedbale — Jest na świecie parę set głupców, którzy nazywają się tak, jak ja.

— Bardzo dobrze, mój panie! Ale właściwie, któż pan jesteś?

— Oh! To jeszcze trudniejsze do objaśnienia. Od lat blisko dwudziestu zadaję sobie sam to pytanie, nie mogąc znaleźć właściwej odpowiedzi. Pozatem nie przyszedłem tutaj mówić o sobie i jeżeli pan pozwoli, porozmawiamy trochę.

Mówiąc to i nie czekając na przyzwolenie młodego człowieka, nieznajomy przysunął sobie jedyne krzesło, mogące w tym pokoju służyć do użytku i wygodnie usiadł na niem.

Frank patrzał na niego z wzrastającem zdziwieniem, nie umiejąc sobie wytłumaczyć tego dziwnego zachowania.

— A więc — rzekł nieznajomy, obrzucając go bystrem spojrzeniem — przybyłem tutaj z daleka i nie kryję wcale, że pan jesteś głównym powodem mojej podróży.

— Ja?

— Tak, pan.

— Ale jakiż cel mieć pan w tem może?

— Dowie się pan o tem później.

— Dlaczego nie zaraz? — zapytał niecierpliwie młody człowiek, brwi marszcząc.

— Bo tymczasem mamy co innego do czynienia.

— Więc pan mnie zna i skąd, jeżeli wolno wiedzieć? — badał dalej Frank uparcie.

— Zaraz pana o tem przekonam.

— Słucham.

Nieznajomy uśmiechnął się i prawie łagodny wyraz zabłysnął w jego oczach.

— Pan się urodził w Ameryce, nieprawdaż? — zapytał po krótkiej chwili milczenia.

— Rzeczywiście. — odparł doktór.

— Ma pan lat dwadzieścia pięć?

— Mniej więcej.

— Pozatem jest pan pracowity, żądny życia, szukający w uporczywej nauce tych środków, których przypadek odmówił panu, czy nie tak?

— Pan się nie myli.

— Otrzymuje pan corocznie — mówił dalej nieznajomy poważnym głosem — pewną kwotę umożliwiającą panu życie i prowadzenie dalszych studyów?

Frank drgnął ze wzruszenia.

— Pan wie o tem? — zawołał ze zdumieniem.

— Oh! Wiem jeszcze wiele innych rzeczy. — podjął nieznajomy — Ja pana znam nie od dzisiaj, znam pana od bardzo dawna już, chociaż to było tajemnicą dla pana.

— Ale jakże to być może!

— Niech pan będzie spokojny, nie szpiegowałem pana. — zaśmiał się nieznajomy, widząc oburzenie bijące z oczów młodego doktora — Są ludzie, którzy się tem trudnią specyalnie, ale pomimo to posiadam o panu jaknajobszerniejsze i dokładne objaśnienia. Wiem, że podróżował pan dużo, zwiedził pan wiele ciekawych miejscowości w Europie i poza jej granicami. Widziano pana w Kalkucie, w Valpareso, w Londynie, w końcu przybył pan osiedlić się w Paryżu.

— Zadziwia mnie jednakże dokładność wiadomości powziętych o mnie. — zauważył niechętnie doktór Frank.

— Oh! Bo i ja także bardzo dużo podróżowałem. — rzekł spiesznie nieznajomy.

— A więc śledził mnie pan? — zawołał młody człowiek gwałtownie.

— Powiedziałem już panu, że pozostawiam tę czynność innym ludziom. Ja również studyowałem.

— Có takiego?

— Ludzi... ich obyczaje... ich socyalne urządzenia. Ale miałem jeszcze cel inny, lecz o nim tylko pan i ja wiedzieć będziemy.

Przy tych słowach cień jakiś przeszedł po czole nieznajomego. Powstał nagle i stając przed doktorem, wymówił energicznym, przekonywującym głosem:

— Czy wie pan dlaczego tu przyszedłem? Bo chcę się stać dla pana użytecznym.

— Mnie? — rzucił młody człowiek, patrząc z zainteresowaniem na gościa.

— To się stać może łatwo!

— Kimże więc pan jesteś? — powtórzył niespokojnie doktór Frank.

— Jestem niczem, ale mogę wiele. Tak, jak pan, prowadzę koczownicze życie, zajmuję się studyowaniem ciekawych rzeczy z tą różnicą tylko, że jestem starszy od pana o lat dwadzieścia pięć. W tym wieku może człowiek już dowolnie korzystać z nabytych w ciągu życia wiadomości.

— Więc czego pan żąda odemnie?

— Nie żądam niczego, chcę być panu pomocnym.

— Ale w czem?

— Niech się pan nad tem dobrze zastanowi — wymówił z naciskiem nieznajomy.

— Kiedy ja nie pragnę niczego. — szepnął młody człowiek, spuszczając głowę.

Nieznajomy patrzał na niego z drwiącym uśmiechem na wąskich ustach.

— Przepraszam pana — rzekł ironicznie — ale zapomniałem powiedzieć jeszcze o jednej rzeczy.

— Co takiego?

— Zajmowałem się dłuższy czas odgadywaniem cudzych myśli i poniekąd posiadając wzrok podwójny...

Doktór Frank wybuchnął szczerym śmiechem.

— Powinien pan był rzeczywiście uprzedzić mnie o tem. — rzekł drwiąco.

— Dlaczego?

— Bobym wiedział, że od godziny mam do czynienie ze szarlatanem.

— To słowo jest za surowe, kochany panie.

— Dlaczego więc mówi pan o podwójnym wzroku?

— Nie wierzy pan w to?

— Do czego panu to posłużyć mogło?

— Choćby do odgadnięcia tego, co pan usiłuje ukryć przedemną.

Doktór Frank spoważniał nagle.

— Cóż więc takiego ukrywam przed panem? — zapytał nerwowo.

— Imię kobiety, którą pan kocha.

— Kobiety?

— Tak! Jest ona córką bankiera de Compans.

— Sylvia! — wykrzyknął młody człowiek, blednąc.

— Sylvia — powtórzył zimno nieznajomy.

Coraz silniejsze zmieszanie ogarniało doktora. Nie wiedział jak sobie wytłumaczyć te nagłe, niespodziewane odwiedziny szczególnego gościa, ani jego przenikliwości, której takie dawał dowody. Starał sobie przypomnieć, czy kiedy zwłaszczony uczuciem, które ukrywać musiał, nie zdradził się jakiem niebacznem słowem lub spojrzeniem podchwyconem przez kogoś bez jego wiedzy.

— No i cóż? Czy dobrze odgadłem? — przerwał milczenie nieznajomy, uśmiechając się.

— Nie wierzę w odgadywania! — odparł młody człowiek niechętnie.

— A jednak nie pomyliłem się.

— A gdyby nawet tak było! — zawołał doktor, tracąc panowanie nad sobą.

— Nie widziałbym w tem nic złego! — kończył spokojnym głosem tajemniczy gość — Ma pan słuszność. Kiedy się kocha, pragnie się wzajemności. Ale niech pan pozwoli sobie powiedzieć, ze złą do tego obiera pan drogę, ukrywając się tu, w tej mansardzie, gdzie napewno sławny bankier de Compans nie przyjdzie szukać pana.

Doktor Frank uśmiechnął się z goryczą. Cho-

ciaż nie wierzył w szczerość swojego gościa, jednakże zanadto się już zaawansował, aby cofać się teraz. Zresztą pomimo nieufności, która go nie opuszczała ani na chwilę, rozmowa ta, w której zostało wymówione imię młodej dziewczyny, którą kochał nad życie — pociągała go dziwnie.

— A czy pan sądził, że pomyślałem kiedykolwiek, iż bankier de Compans przybędzie tu po mnie? — zapytał głosem, w którym przebijała się duma.

— Dlaczego nie?

— To marzenie dla mnie nieziszczalne!

— Czy chce pan, abym z niego uczynił rzeczywistość?

— Pan! W jaki sposób?

— Zobaczy pan. Czy panu naprawdę na tem zależy?

— Chyba pan żartuje.

— Nie, nie żartuję wcale! — rzekł nieznajomy poważnie, kładąc rękę na ramieniu młodego człowieka — jesteśmy obydwaj dojrzali ludzie i mówimy rozsądnie. Powiadam więc panu, że jutro bankier Compans przyjdzie sam tutaj zawezwać doktora Franka.

— Ależ to niemożliwe!

— Przekonasz się pan o tem.

— Pewność pana oddziaływa na mnie pomimo mnie. Więc jest to możliwe?

— Stanie się to jutro, ale pod jednym warunkiem.

— Niech pan mówi.

— Jeżeli spotka mnie pan przypadkiem w salonach bankiera, uda pan, że widzi mnie poraz pierwszy.

— Dlaczego?

— To jest już moja tajemnica.

— Niech i tak będzie.

— A więc rzecz ułożona. Muszę już odejść i pożegnać pana.

— Kiedy pana zobaczę?

— Jutro.

— Niech pan pamięta o danem przyrzeczeniu.

Nieznajomy uśmiechnął się.

— Powtarzam panu, że jutro baron de Compans będzie tutaj! — wyrzekł przekonywująco.

Poczem ukłonił się i wyszedł.

Frank pozostał sam, dziwnie oszołomiony i zmieszany. Nie mógł sobie dokładnie zdać sprawy z tego, co się stało. Chwilami miał wrażenie, że uległ jakiemuś podnieceniu wyobraźni, że to sen, z którego wkrótce obudzić się mu przyjdzie. Całą noc spędził bezsennie, w stanie gorączkowego zdenerwowania i oczekiwania.

Pomimo iż zapewnienie tajemniczego nieznajomego wydawało mu się wprost niepodobieństwem, jakaś szalona nadzieja, to znowu zwątpienie wstrząsnęło całą jego istotą, przyspieszając bicie serca.

W cóż wierzyć mógł? Na jakiem przypuszczeniu oprzeć się? Kto był ten człowiek, którego widział po raz pierwszy i skąd to zainteresowanie się nim?

Czyż mógł marzyć o miłości córki bogatego bankiera, którą ootąd widywał tylko z daleka przejeżdżającą powozem i z którą nie zamienił jeszcze ani jednego słowa.

Nadzieje, którym pozwolił się na chwilę unieść, wydawały się mu teraz zuchwałem szaleństwem.

Noc całą spędził na podobnych rozmyślaniach, a kiedy nadszedł ranek, gorączkowe podniecenie wzmogło się jeszcze. Dręczące uczucie oczekiwania przyłączyło się jeszcze do jego niepokoju. Godziny wlokły się w nieskończoność, długie i monotonne i zdawało mu się, że ten upragniony wieczór nie nadejdzie nigdy.

Nie mogąc usiedzieć w swoich pokojkach, kilkakrotnie wychodził, przebiegając bez celu ulice miasta, powracając z zapytaniem, czy się kto nie pytał o niego.

Nareszcie nadeszła godzina szósta.

Jeszcze miał przed sobą całą godzinę oczekiwania.

Całe życie jego przesunęło się teraz przed jego oczami. Przeszłość pełna walk ciężkich i nędzy i przyszłość widziana poprzez rojenia i pragnienia młodości.

Na piersiach czuł ciężar nieznośny, utrudniający oddech, w głowie szum, pozbawiający go chwilami przytomności umysłu.

Nareszcie na najbliższej wieży kościelnej wybiła powoli siódma godzina.

Doktór Frank przybity, zgnębiony siedział bezwładny na stołku, wpatrzony w drzwi swojego pokoju.

Nagle powstał gwałtownie i począł nadsłuchiwać.

Donośne uderzenia zegara, w które wsłuchiwał się tyle razy z obojętnością, wprawiały go obecnie w przykry nastrój nieokreślonego lęku.

W tej chwili powóz z głuchym łoskotem przejechał ulicą i zatrzymał się przed domem.

Doktór Frank nie śmiał wyjrzeć oknem, lękając się rozczarowania. Zapomniał już o tajemniczym nieznajomym, do którego czuł pewną nieufność, a pamiętał tylko o jego obietnicach i postać Sylvii de Compans stanęła żywa przed jego oczami. Czy nie śnił jednak? Czy naprawdę powóz zatrzymał się przed domem, w którym mieszkał i osoba w nim przybywająca miała za chwilę stać się jego gościem?

Wkrótce szybkie kroki rozległy się na schodach, poczem zapukano do drzwi gwałtownie.

Frank z trudem powstrzymał okrzyk wyrywający mu się z piersi.

Pukanie powtórzyło się.

— Proszę wejść! — zawołał drżącym głosem wpatrzony w drzwi rozszerzonemi źrenicami.

Na progu stanął mężczyzna. Postawę miał wyniosłą, budzącą poszanowanie. W prawej ręce trzymał kapelusz i chusiką wyciągniętą z kieszeni obcierał czoło zroszone potem. Twarz jego była okrągła i pełna zdrowia, pomimo niepokoju, jaki się na niej teraz malował. Włosy miał już przyprószone gdzieniegdzie siwizną. Ubrany był z wyszukaną wytwornością, a na białej, pikowej kamizelce jaśniał gruby złoty łańcuch obwieszony brelokami. Oczy ciemne ochraniał cwikier również w złotej oprawie.

— Pan doktór Frank? — zapytał nowoprzybyły żywo.

— To ja nim jestem. — odparł młody człowiek nienaturalnym, zgaszonym głosem.

— Jestem hrabia de Compans.

— Ach! — szepnął doktór Frank, opierając się ręką o róg stolika, bo czuł, że siły zaczynają go opuszczać.

Bankier wszedł szybko do pokoju, nie zdając się zwracać uwagi na jego skromny i ubogi wygląd.

— Moja córka umiera. — wymówił ciężkim, przerywanym głosem — Przywołałem do niej najsławniejszych lekarzy i żaden z nich nie umiał określić powodu tej strasznej, gwałtownej choroby, która na nią spadła.

— Czy być może? — wyszeptał młody człowiek blednąc nagle.

— W chwili, kiedy straciłem ostatnią nadzieję, przyszedł do mnie człowiek pewien — ciągnął dalej bankier — i powiedział mi: „Tylko doktór Frank uratować może dziecko pana, udaj się do niego bezzwłocznie". Widzi pan, że nie straciłem ani minuty i przybyłem do pana! Czy chce pan ratować moją córkę?

Frank nie zdolny był odpowiedzieć. To, czego się dowiadywał, graniczyło z nadnaturalnością i zapytywał się z lękiem, jaką mocą ukrytą rozporządzał człowiek, który przyszedł wczoraj i kilkoma słowami zburzył cały jego spokój.

— Niech pan idzie ze mną — trzeba się spieszyć. — błagał bankier zmieszany, nie rozumiejąc milczenia młodego człowieka.

Frank zatrzymał go ruchem ręki.

— Jestem tak zaskoczony tem wydarzeniem — przyznał drżącym głosem — że...

— Chodźmy! Chodźmy! — nalegał baron de Compans, chwytając go za rękę.

— Ależ, kimże ja jestem, abym budził w panu takie zaufanie? — bronił się jeszcze młody człowiek.

— Ach! Cóż mi na tem zależy! Tu chodzi, powtarzam panu, o życie mojego jedynego dziecka! Najmniejsze opóźnienie zgubić ją może bezpowrotnie. Niech się pan nie waha, przez litość.

Frank nie opierał się już. Los jego rozgrywał się w tej chwili, nieznana ręka skierowała go na drogę, którą nadal postępować musiał.

Podniósł głowę i śmiało spojrzał na barona de Compans. Wiara i ufność wstąpiły w niego, miał wrażenie, że jakaś siła potężna pcha go naprzód i gotów był dać się jej kierować bez oporu.

Złote drzwi marzeń otwierały się przed nim, tych marzeń, które niepokoiły go bezustannie w latach ciężkiej pracy i zwątpienia.

Uczynił ruch ręką, oznajmiający, że jest gotów pospieszyć, dokąd chce go zawieźć baron.

Powóz, zaprzęgnięty w dwa przepyszne konie, oczekiwał na ulicy przed domem.

Bankier i młody doktór wskoczyli do niego i konie uniosły ich w stronę przedmieścia Saint-Honoré.

W pierwszej chwili bankier milczał, przejęty niepokojącemi myślami.

Frank zaś, chociaż jeszcze trwał pod wrażeniem silnego wzruszenia, pragnął być objaśniony co do szczegółów choroby młodej dziewczyny i odezwał się pierwszy, przerywając milczenie.

— Czy długo już panna de Compans jest chorą? — zapytał zwracając się do towarzysza.

— Choroba jej przyszła nagle. — odparł bankier, budząc się z zamyślenia — Wczoraj rano jeszcze była pełna sił i zdrowia i wszyscy w domu cieszyliśmy się jej radością, kiedy otrzymała od narzeczonego podarunki przedślubne.

— Podarunki przedślubne! — powtórzył Frank, uderzony temi słowami.

— Tak jest! — przytaknął baron, który był zanadto wzruszony, aby zwrócić uwagę na nagłe zmieszanie młodego człowieka — Może pan zrozumieć, co to za przyjemne chwile dla młodej dziewczyny, która po raz pierwszy podziwia perły i drogie kamienie, które są jej własnością. Ach! Zaręczam panu, że myśl o nieszczęściu daleka była od nas w tej chwili, ale trzeba było jednej godziny, aby radość naszą zamienić w rozpacz ostateczną!

Każde słowo bankiera sprawiało ból żywy doktorowi. Było to tak, jakgdyby ironia losu! Można było wierzyć, że jakaś fatalność zła ciążyła nad nim, mącąc nadzieję, przedwcześnie obudzoną w jego duszy.

Sylvia wychodziła za mąż.

A przecież on łudził się przez chwilę, nie chcąc pomyśleć, że złudzenie to jest istnem szaleństwem.

A jednak któż wiedzieć może, co stanie się jeszcze?

Zobaczy ją... przemówi, będzie mógł uścisnąć jej rękę.

Wyrwana przez niego śmierci, może uczuje wdzięczność dla swojego zbawcy, a ta wdzięczność przy usilnych jego staraniach zamienić się może w głębsze uczucie.

Męcząca walka toczyła się w duszy Franka.

A jeżeli uratuje ją po to, aby zdrową i wesołą oddać w ręce innego, do którego już prawie należy?

Fala zazdrości uderzyła w niego i przez chwilę oszalały z bólu, myślał nad sposobem pozbycia się nienawistnego rywala.

Już tyle cierpiał, tyle się męczył bezowocnie, że zdawało mu się niepodobieństwem rozpoczynać teraz nowe życie, wnosząc w nie tak bolesne rozczarowanie, boleśniejsze stokroć od tamtych, przeżytych już.

Tymczasem powóz zatrzymał się przed willą bankiera, przerywając smutny bieg myśli Franka.

Bankier wyskoczył żywo z powozu i pociągnął spiesznie młodego człowieka aż do pokoju, w którym leżała jego córka.

Frank, widząc przepych i wytworność otaczającą go zewnątrz, nie czuł się zmieszanym. Myśli jego były przejęte teraz ważniejszą rzeczą. Z każdą chwilą, zbliżającą go do pokoju Sylvii, czuł, jaka zmiana wytwarza się w jego duszy. Zawistne i niedobre uczucia, któremi był przepełniony, jadąc tutaj, ustąpiły zupełnie. Ogarnęło go silne rozrzewnienie i współczucie dla tego znękanego ojca, błagającego go spojrzeniem o ratunek dla córki i kiedy baron, otwierając drzwi pokoju Sylvii, przepuścił go w milczeniu, niemogąc słowa wymówić — Frank byłby oddał wszystkie skarby przyszłości, by stać się naprawdę wybawicielem tej rodziny, obcej jeszcze dla niego wczoraj.

Miłość czysta i bezinteresowna siłą swoją zwalczyła zazdrość i niechęć dręczącą go przed chwilą i Frank wzruszony odpowiedzialnością, jaka na nim ciążyła, podszedł do łóżka, na którem spoczywała chora.

Wokoło stało kilku lekarzy rozprawiających szeroko nad tą nieodgadniętą i dziwną chorobą, w której się rozpoznać nie umieli.

Zastosowano już przeróżne lekarstwa i zabiegi, ale dotąd okazały się one zupełnie bezskuteczne, a złośliwe zło niszczyło coraz bezwzględniej wątłe ciało młodej dziewczyny.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Siódma pożyczka wojenna.

Obligacye VII. pożyczki wojennej na 50 i 100 koron są już gotowe i rozesłane zostały do miejsc subskrypcyi. W tych dniach będą gotowe obligacye na 1000 koron. Każdy subskrybent może obligacye otrzymać już przy subskrypcyi.

Termin podpisywania pożyczki wojennej został przedłużony do dnia 15. b. m. godzina 12 w południe. Każdy, kto ma oszczędzoną gotówkę, powinien we własnym interesie ulokować ją w pożyczce wojennej. W kasach oszczędności przeważnie wynosi procent od 100 koron na rok 3 K. 75 h., zaś w bankach przeciętnie tylko 3 K. 50 h. Obligacya pożyczki wojennej na 100 koron przynosi rocznie 5 K 50 h. Jeżeli posiadacz książeczki wkładkowej na 100 koron nie pobiera procentu, czyli pozostawia kapitał na procent składany, to pierwotna wkładka na sto koron podwoi się i będzie wynosić 200 koron po latach 18 przy procencie $3^3/_4$ koron.

Jeżeli posiadacz obligacyi pożyczki wojennej na 100 koron, która go skutkiem korzystnych warunków subskrypcyi kosztuje 91 K. 54 h., oszczędzone 8 K. 46 h. (reszta ze 100 koron) da do kasy oszczędności, a następnie będzie dodawać do tej kwoty półroczne kupony po 2 K. 75, to już po 13 latach, a więc o pięć lat wcześniej podwoi się jego kapitał, czyli wyniesie 200 koron.

O zwyczajnie, tak samo jest z obligacyami na 1000 K., lub na 10 000 K. i tak dalej. Korzyść jest tak widoczna i tak wielka, że powinna być wystarczającą zachętą do podpisywania pożyczki wojennej.

Z tygodnia.

Tydzień K. B. K.

Książęco Biskupi Komitet ogłosił następującą odezwę:

Straszliwa pożoga wojenna płonie już czwarty rok nad naszą Ojczyzną. Szerokim pasem otoczył nas front bojowy, żywym ogniem palący ziemię naszą. Tysiące braci spieszą na krwawe boje ku wszystkim stronom świata, pozostawiając bezradne w smutku rodziny, a osierociałe bez opieki zagrody i zagony. Nad całym naszym krajem zawisła szara, nieustanna troska: niepewność dalszego losu, nie tylko własnego i swych najdroższych, lecz i całej Ojczyzny. A chociaż niespożyta siła naszego narodu pozwoliła na to, by tu i ówdzie zaczęły się już zabliźniać rany zadane w pierwszym roku wojny, to jednak nędza zaczyna ogarniać coraz to szersze kręgi społeczeństwa.

Naród, chcący żyć, musi się na to zdobyć, by położyć kres, lub przynajmniej wydatnie ulżyć tej właśnie nędzy, która się szerzy wewnątrz kraju otoczonego wojną. Wszak to właśnie ta część narodu, która pracuje na rodzinnych zagrodach, ci, którzy nie biorą bezpośredniego udziału w walkach mają za zadanie utrzymanie tego, co ocalało i zapewnienie rozwoju na przyszłość.

Książęco Biskupi Komitet pomocy dla ofiar wojny (K. B. K.) wziął na swe barki to ciężkie zadanie, by tym, którzy poza frontami cierpią, przynieść pomoc i ulgę. Od trzech już lat K. B. K. wytęża siły, by walczyć z głodem, nędzą i zarazą, temi nieuchronnemi towarzyszami wojny. Dzięki ofiarności całego świata, któremu nie był obojętny los cierpiącej Polski, zwłaszcza zaś dzięki akcyi rozpoczętej przez ś. p. Henryka Sienkiewicza, a wspomożonej potężnem wezwaniem Jego Świątobliwości Papieża Benedykta XV, mógł K. B. K. przez ubiegłe trzy lata rozwijać swą działalność. Założono kilkadziesiąt szpitali epidemicznych, powołano do życia i wsparto cały szereg instytucyi opieki nad dziećmi, odziano tysiące uchodźców, zaczęto budować zniszczone domostwa, słowem starano się złagodzić klęski wojenne.

Ale rozszerzający się płomień wojny, obejmujący coraz to inne narody, a niszczący wszystko na około, zamknął wszystkie zewnętrzne źródła do dziś. Dziś możemy liczyć tylko na środki płynące z własnego kraju, jeśli te zawiodą, działalność K. B. K. ustanie, gdyż fundusze są na wyczerpaniu.

Szereg instytucyi i praca, mająca na celu pomoc dla najnieszczęśliwszych, a zwłaszcza ochronę dzieci, tej nadziei narodu — nie mogą i nie powinny upaść z braku środków! Dziś więc, kiedy od trzech lat działa gotowa organizacya, a kiedy równocześnie grozi brak środków do dalszej pracy, K. B. K. zwraca się do społeczeństwa polskiego, by mu przyszło z wydatną pomocą materyalną.

W czasie świąt Bożego Narodzenia, kiedy wschodząca gwiazda wigilijna przypomni zapowiedź Zbawienia świata, niechaj nikt z Polaków, nikt z ludzi, co sercem potrafią ogarnąć ból i goryczy ręży, nie cofnie się od wydatnej ofiary! Naród, który własną siłą i ofiarnością zdoła złagodzić swoją nędzę wojenną, da tem samem najlepszy znak, że zdolny jest do życia.

Książęco Biskupi Komitet
† *Adam Sapieha*
książę biskup krakowski
przewodniczący.

Od 23. grudnia przyjmować będą dobrowolne datki: Książęco Biskupi Komitet (ulica Kapucyńska l. 3, II piętro, rano 10—1). Konsystorz Książęco-Biskupi (pałac Biskupi od 9—1 rano) oraz wszystkie delegacye K. B. K. rozsiane po kraju. Wpłacać można także na konto Pocztowej Kasy Oszczędności Nr. 143.006, na rachunek bieżący K. B. K. w Banku Krajowym i jego filiach (Kraków, Plac Szczepański), lub na rachunek bieżący K. B. K. w Banku Przemysłowym, filia Kraków, Rynek l. 31.

Orędzie Wilsona do Kongresu.

Przy otwarciu obrad kongresu dnia 4. b. m. popołudniu wygłosił Wilson, prezydent Stanów Zjednoczonych, następującą mowę:

„Akty gwałtów, zamierzone przeciwko nam przez sięgających zgubę władców Niemiec, są od dawna zbyt jawne i zbyt godne nienawiści ze strony każdego Amerykanina, ażeby je powtarzać jeszcze. Naszym naturalnym celem jest wygranie wojny i my ani nie osłabniemy, ani nie damy się odstraszyć, dopóki wojna nie będzie wygrana. Naród amerykański chce pokoju przez pokonanie złego, przez stanowczą klęskę tych wszystkich ciemnych mocy, które burzą i uniemożliwiają pokój.

„Tę straszną istotę, której brzydkie oblicze pokazują nam panujący koła w Niemczech, niebezpieczeństwo ciągłych intryg i gwałtów, których wcieleniem jest potęga niemiecka, ta niecna i czci pozbawiona istota, niezdolna do utrzymania poważnego pokoju, musi być zwyciężona, a jeżeli jej nie można całkowicie zniszczyć, to trzeba co najmniej wykluczyć ją z przyjacielskiego związku narodów.

„A potem, gdy ta moc zostanie wreszcie zmożona, gdy przyjdzie czas, w którym będziemy mogli mówić o pokoju, gdy lud niemiecki będzie mieć godnych zaufania pośredników i gdy ci mężowie okażą imieniem swojego ludu gotowość do połączenia się z ogólnym wyrokiem narodów, celem ugruntowania przyszłych praw i umów — wtedy chętnie i rzetelnie zapłacimy cenę pokoju.

„Słyszycie za mną głos ludzkości, brzmiący w przestworzach. Odzywa się on coraz głośniej, coraz bardziej przekonywująco, a domaga się, ażeby wojna nie została ukończona szybkością myśli, ażeby żadna narodowość i żaden lud nie zostały skrzywdzone, lub ukarane dlatego, że nieodpowiedzialni panujący wywołali to nieszczęście, grożne klątwy. Wyrazem tego przekonania jest formuła: bez aneksyi i odszkodowań. Ponieważ ta właśnie krótka formuła obejmuje w sobie prawa wszystkich ludzi, Niemcy, mistrze w prowadzeniu wojny, użyli jej zręcznie, ażeby lud rosyjski, a także ludy innych krajów, które są dostępne dla agentów niemieckich, obałamucić w tym celu, ażeby uzyskać przedwczesny pokój, zanim autokracya otrzyma należą odpowiedź i zanim narody same będą mogły postanowić o swoim losie. Musimy pokazać tym autokratom, jak kruchemi są ich roszczenia do przewodnictwa w dzisiejszem świecie.

„Naszem obecnem zadaniem jest wygranie wojny i nic nas od tego nie powstrzyma. Wszystkie nasze siły i rezerwy w ludziach, pieniądze i materyały poświęcimy temu celowi, aż go osiągniemy.

„Niemcy rozszerzyli swoje panowanie na inne narody i kraje: na wielką monarchię austro-węgierską, na kraje bałkańskie, na wolną Turcyę i Azyę. Kraje te musimy uwolnić od tego. Nie zaprzeczamy Niemcom powodzeń na polu przemysłu i nauki — przeciwnie, podziwiamy je. Niemcy stworzyli zabezpieczone pokojem światowym wielkie państwo handlowe. Ale w chwili, gdy sobie zabezpieczyli tryumf pokoju, w chwili owej postanowili zdobyć dla siebie siłą orężną militarne i polityczne panowanie, ażeby rozpędzić swoich przeciwników, najbardziej w Niemczech znienawidzonych i największą wzbudzających obawę, o ileby się nie powiodło zniszczenie tych przeciwników.

„Pokój, który zawrzemy, zagoić musi te rany. Musi wyswobodzić narody, musi szczęśliwą niedolę ludność Belgii i północne Francyi uwolnić od pruskiej grozy, musi także ludy Austro-Węgier, Bałkanu, tudzież Turcyi europejskiej i azyatyckiej uwolnić od panowania pruskiej autokracyi militarnej i handlowej. Musimy jednakże zaznaczyć, że nie chcemy żadną miarą szkodzić Austro-Węgrom i że nie jest naszą rzeczą zajmowanie się instytucyami narodów.

„Najgorszą rzeczą, jakaby mogła spotkać lud niemiecki, byłoby to, gdyby po wojnie musiał on dalej żyć pod mocą ambitnych i podstępnych panów swoich, którzy usiłują zamącić pokój świata. Gdyby Niemcy miały nadal być pod panowaniem tej klasy, nie możnaby ich przyjąć do związku narodów, który na przyszłość ma być rękojmią pokoju. Ten związek musi być zjednoczeniem ludów, a nie rządów. Naród rosyjski został zatruty przez tych samych kłamców, którzy zaś epili lud niemiecki, a truciznę podały te same ręce".

Ameryka wypowiada wojnę Austro-Węgrom.

W myśl orędzia Wilsona Izba reprezentantów przyjęła rezolucyę, wypowiadającą wojnę Austro-Węgrom. Rezolucya ta brzmi, jak następuje:

„Ponieważ rząd austryacko-węgierski wobec rządu i narodu Stanów Zjednoczonych przez zerwanie stosunków dyplomatycznych i popieranie polityki Niemiec w sprawie łodzi podwodnych, Niemiec, z którymi Ameryka pozostaje w wojnie, wystąpiły w sposób nieprzyjacielski i ponieważ Austro-Węgry udzieliły swoiemu sprzymierzeńcowi wszelkiego poparcia dla dalszego prowadzenia wojny na morzu i lądzie, z rządem i narodem Stanów Zjednoczonych, zgromadzeni w kongresie Senat i Izba reprezentantów uchwalają, że od 5 grudnia w południe istnieje między Austro-Węgrami a Stanami Zjednoczonemi stan wojenny. Upełnomocnia się prezydenta i wzywa się go, by wszystkie siły zbrojne Ameryki na morzu i lądzie, jako też wszelkie środki pomocnicze, stojące rządowi do dyspozycyi, użył w wojnie przeciw Austro-Węgrom i doprowadził walkę do pomyślnego końca".

Armia polska w Rosyi.

Petersburski „Dziennik Narodowy" z 21. listopada donosi:

Wszyscy żołnierze polscy z garnizonu w Gatczynie zostali na własne żądanie zwolnieni ze służby wojskowej w armii rosyjskiej. Komitet polski w Gatczynie zażądał zwolnienia wszystkich Polaków, służących w armii rosyjskiej, wskazując na fakt uznania przez Rosyę niepodległości Polski.

W związku z tą wiadomością donoszą do berlińskiego „Lokal Anzeigera", że rząd rosyjski wydał rozkaz o unarodowieniu armii. Według tego rozporządzenia ma być dozwolone w przyszłości swobodne grupowanie się według narodowości w ramach jednostki bojowej.

Tak więc Polacy, należący do armii rosyjskiej, zostaną wyeliminowani z szeregów rosyjskich i utworzą odrębną jednostkę wojskową. Armia polska w Rosyi będzie neutralną względem zewnętrznych przeciwników Rosyi.

Głosy publiczne.

Ze sportu narciarskiego. W czasie świąt Bożego Narodzenia odbędzie się w Zakopanem w dniach 26 do 30 grudnia b. r. pięciodniowy kurs narciarski dla początkujących i wprawnych narciarzy, urządzony staraniem Tatrzańskiego Towarzystwa Narciarzy w Krakowie. Bliższych informacyi udziela Sekretaryat Towarzystwa, ul. Jagiellońska 11, parter. (Biuro ogłoszeń Wł. Grabowskiego) od 9—1.

Kronika tygodniowa.

Jak po inne lata, zupełnie tak samo w roku bieżącym zawiódłem się w najpaskudniejszy sposób, oczekując na odwiedziny świętego Mikołaja, patrona potrzebujących i uciśnionych. Zapomniał znowu o mnie i mogę śmiało powiedzieć, a raczej napisać z głębokim bólem w rozżalonem sercu, iż niejeden krakowski aprowizator prędzej doczeka się świętego Michała, niż ja Mikołaja, choć obaj święci od jednej i tej samej litery się zaczynają.

W każdym razie muszę stwierdzić, iż oddanie się w opiekę jednemu z nich, nie jest tem samem, co orędownictwo drugiego. Zwłaszcza święty Michał, choć jest z urzędu uznanym za patrona Galicyi, przez niektóre osobniki z pośród nas wspominany jest z pewną obawą, są nawet ludzie, którzy boją się imię Jego wypowiedzieć, by się to przypadkiem nie stało „w nieszczęśliwą godzinę“, na gmach zaś, ongi Jego czci poświęcony, spoglądają z należytym respektem.

Zwłaszcza pomiędzy naszymi „aprowizatorami“ jest wielu takich, którzy każdej chwili spodziewają się dostać pod Jego opiekuńcze skrzydła, a raczej w gościnne mury, gdy zaś wieść podobna rozejdzie się po mieście, inni zawodowi koledzy kiwają tylko głowami i powtarzają sobie w duchu:

— Co dziś tobie, jutro mnie!

Ale niestety i to ich nie odstrasza, spekulują dalej, aż do tej nieszczęśliwej chwili, w której się im noga powinie. Na to się jednak ma głowę — tak przynajmniej powiadają — by nadejście owej chwili o ile możności jak najbardziej od siebie oddalić. Nieszczęście przecież, jak powiada przysłowie, chodzi po ludziach, nie po lesie, stąd też i podwoje gmachu świętego Michała, gdzie mieści się krakowski kryminał, otwierają się stosunkowo dość często na przyjęcie obywateli, dla dobra ogółu zasłużonych. Na domiar mamy jeszcze bardzo grzecznego pana prokuratora, który zaraz prosi gościa siedzieć, gdy go tylko w swem biurze zobaczy, choć ów zaproszony dałby wiele zato, by być raczej sromotnie za drzwi wyrzuconym.

Do czasu jednak dzbanek nosi wodę! Zdarza się też czasem, że i były aprowizator znajdzie się w ulu i otrzymuje tu zupełnie bezpłatny wikt, mieszkanie, nawet opierunek. Tutaj w miłej zgodzie łączą się ze sobą wszystkie wyznania religijne, przekonania polityczne, ba, nawet obie płci cieszą się najzupełniejszem równouprawnieniem.

Wracać mi przecież należy do świętego Mikołaja, gdyż zaczynam się obawiać, bym przypadkiem niebacznie nie nadużył cierpliwości Jego świętego Współtowarzysza, dowódcy niebieskich zastępów, a zarazem patrona Galicyi i Lodomeryi oraz niektórych krakowskich „aprowizatorów“.

Noc z dnia piątego na szóstego grudnia przespałem snem sprawiedliwych. Jest to pora, przeznaczona od wieków na odwiedziny świętego Mikołaja, każdy więc, choć sen odeń ulata, udaje bodaj, że spi, by świętemu Patronowi nie przeszkodzić przy operacyi podkładania tak upragnionych darów. Natomiast rano zrywa się każdy i każda, przynajmniej o godzinę wcześniej niż zwykle, i zagląda najpierw pod poduszkę, potem nawet pod łóżko. I ja uczyniłem tak samo. Ale pod poduszką pustki, pod łóżkiem także nic, prócz pantofli, ofiarowanych mi przed laty przez kolegów redakcyjnych w dwudziestą piątą rocznicę mych godów małżeńskich.

Zapomniał o mnie widocznie święty Mikołaj, albo nie znał mego adresu, choć jestem, jak się patrzy, w policyi meldowany, na co mam nawet urzędowe potwierdzenie. Pocieszam się przecież tą myślą, że stało się to po raz nie pierwszy i nie ostatni i że to, co zawiodło w tym roku, może się spełnić w następnym, za lat dwa, trzy i tak dalej. W każdym razie lepiej późno, niż nigdy! Wychodząc z tej zasady, nie tracę też nigdy otuchy i z taką samą zupełnie cierpliwością oczekuję naprzykład odwiedzin listonosza pieniężnego, który też stale omija moje progi.

Że jestem cierpliwy, na to zresztą dowód najlepszy, iż od tylu lat czekam na nagrodę Nobla i bynajmniej nie straciłem nadziei, że ją przecież kiedy dostanę, wszystko mi jedno, czy z zakresu literatury, medycyny, chemii czy fizyki, albo też pokojową. Przeznaczonych specyalnie dla kronikarzy niema, gdyby bowiem ś. p. Nobel nie był o nich zapomniał, z pewnością dawno już byłbym laureatem, choć nie tyle mi się o one laury rozchodzi, co o ów marny kruszec, będący stałym ich dodatkiem. Roszczę sobie zaś pretensye do każdej z nagród, gdyż przecież „robię“ w literaturze, gdy jestem chory, radzę sobie, a i innym też rad nie skąpię, chemią i fizyką zajmuję się bardzo gorliwie, potrafiąc nawet bańki nosem puszczać i będąc na najlepszej drodze do rozwiązania problemu *perpetuum mobile*. (Ja już go rozwiązałem!... Jest to język starej baby!... przyp. zecera) pokojowa nagroda byłaby mi mimo to najprzyjemniejszą i najbardziej pożądaną ze względu na okoliczność, iż ów monetarny do niej dodatek jest stale najwiękzy. I zupełnie słusznie!... Uczony chemik lub fizyk, który poza swem laboratoryum świata nie widzi, pieniędzy też nie potrzebuje, propagowanie natomiast pokoju połączone jest z najrozmaitszymi wydatkami, zwłaszcza w obecnych czasach, gdy bomba piwa kosztuje co najmniej koronę, a kieliszek wódki nawet dwa razy tyle! Wiadomo zaś, że rozprawy pokojowe prowadzi się zwykle nie na sucho, oraz, że, „kto smaruje, ten jedzie“. Dziś brak nam tłuszczów, choć są tłuszczowe karty, więc chcąc mieć pokój, trzeba smarować bodaj czemś płynnem, a to dużo kosztuje.

Na razie nie spodziewam się zostać tak rychło laureatem Nobla już choćby z tej prostej przyczyny, iż narody północne, nagrodami owemi dysponujące, z pewną niechęcią odnoszą się do państw centralnych. Zaostrzenie nastąpiło zwłaszcza od chwili dojścia do rządów pana Brantinga, który odmówił Niemcom dostawy śledzi, choć obiecywali w zamian węgiel, cukier i inne podobne specyały. Obejdziemy się przecież bez śledzi, skoro tak być musi, nasze „prawdziwe wiedeńskie moskale“, rodem z Rudawy, są bardzo smaczne, choć kosztują już po czterdzieści lub pięćdziesiąt halerzy za sztukę i mogą nam zupełnie dobrze zastąpić szwedzkie i norwegskie ryby, zwłaszcza że oba kraje, dochowując neutralności, przysyłały nam tylko to, czego same zjeść nie mogły, a kto inny nie chciał kupić, więc towar zły i zepsuty.

Czy z tym zakazem eksportu ryb do środkowej Europy stoi w jakim związku brak zapałek szwedzkich u nas i ich podrożenie, tego dotąd nie zdołałem sprawdzić, stwierdzam tylko z obowiązku kronikarskiego, iż mocarstwa centralne nie mają widocznie szczęścia do litery „b“. Za dowód niech służy Bratianu, Buchanan, a świeżo Branting, wszyscy zdeklarowani zwolennicy koalicyi.

Zupełnie to samo można powiedzieć o kochanym Krakowie, bo każde stworzenie, czy ono żyje, czy nie, ma swego mola, co je gryzie. Ta tylko różnica, że gdy mocarstwa centralne nie mają szczęścia do litery „b“, dla podwawelskiego grodu feralnem jest „a“. Nie tak dawno głośną była sprawa asenterunkowa, teraz znowu bardzo brzydko mówią o aprowizacyi. Nie powtarzam tego, com słyszał, nie dodaję do tego zwyczajem krakowskim od siebie znowu tego, czego nie słyszałem, jeśli się jednak czego dowiem, to przy sposobności o tem wspomnę.

I znów odszedłem od tematu, którym miał być i będzie święty Mikołaj. Wracam więc do niego i po kilka słów poświęcę tym szczęśliwcom, którzy przez świętego Patrona zostali obdarzeni, jeśli nie w samą uroczystość, to bezpośrednio przedtem, lub potem.

W pierwszym więc rzędzie stoją nasi pacyfiści, tak teoretycy, jak i praktycy, którzy otrzymali na razie dziesięciodniowe zawieszenie broni z Rosyą i zapowiedź, że dalszy ciąg nastąpi. Jaki on będzie, tego nie wiemy, w każdym razie nikt nie zabroni nam żywienia nadziei, że wojna zaczyna się kończyć. Czy się jednak tak rychło skończy, to pytanie, na które dopiero przyszłość może dać odpowiedź. Kwestya ta wychodzi daleko poza kompetencyę kronikarza *Nowości Illustrowanych*, choć wiele osób oświadcza, że dopóty w koniec wojny nie uwierzą, dopóki z tego źródła nie dowiedzą się o tem.

Kronikarz jest przecież, był i będzie nadal neutralnym, a o pokoju zacznie pisać dopiero wtedy, gdy się już rozpoczną pertraktacye.

Że za Rosyą pójść powinna i Rumunia, o tem niema dwu zdań. Z chwilą, gdy Rosya ściągnęła swe wojska z rumuńskiego frontu i odmówiła dowozu żywności, nie pozostaje Rumunom nic innego, jak przyznanie się do winy, że zrobili kapitalne głupstwo, pchając palce między drzwi. Jeśli i oni nie poproszą o zawieszenie broni, tymczasem Mackensen może im bardzo łatwo wleźć w kapustę.

Na giełdzie towarowej wiadomość o zawieszeniu broni i grożącym ewentualnie pokoju, choćby tylko odrębnym z samą Rosyą, wywarła wprost deprymujące wrażenie. Jak wiem z ust mej czcigodnej Weroniki, spadły nagle ceny kawy i mąki żytniej (ale nie magistrackiej, bo tej brak w dalszym ciągu!...), aprowizatorzy chodzili jak struci, niczem biedna mysz, gdy, w braku innego pożywienia, obje się trucizny bakcylowej.

Spotkałem jednego z nich onegdaj, a widząc, że coś mu dolega, pytam o przyczynę.

Popatrzył na mnie, jak na raroga, i powiada:

— I czego ja się mam cieszyć?... Mało to pieniędzy włożyłem w towary?... Niech on kiszki połamie za moją krzywdę!

— Kto taki?

— Nu! A któżby, jak nie ten z przeproszeniem, ludowy komisarz od spraw zagranicznych, Trocki!... I to ma być człowiek od naszej wiary, a robi tak, że tylko my mamy z tego szkodę!... Kiereński, to zupełnie co innego!.. To człowiek z charakterem, to też ja wierzę, że *Kuryerek* napisał prawdę, iż jest on synem od pana Fajwusia. On wiedział dobrze, że teraz nie jest jeszcze czas na żaden pokój.

— Ale lud żąła pokoju! — ja mu na to.

— Co za lud?... Jaki lud?... Czy ten lud włożył co gotówki do tego interesu?... Co takie głupie chamy mają gadać?... To jest, powiadam panu, całe nieszczęście jeżeli się do rzeczy zabierają ludzie, nie mający o tem pojęcia!

Takich niezadowolonych jest wprawdzie sporo, ogół cieszy się przecież, że zaczyna świtać pokojowa jutrzenka, choć, aby temu kłam zadać, wujaszek Wilson wypowiedział nam wojnę na lądzie, wodzie i w powietrzu i czeka tylko na nowoczesnego Mojżesza, aby osuszył dno morskie i przeprowadził jego zastępy.

Jak się to wszystko skończy, trudno dziś przewidzieć. Nie myślę się bynajmniej bawić w stawianie horoskopów na przyszłość, zwłaszcza, że zaznaczyłem już kilka razy, iż każdy dzień może nam przynieść niespodziankę. Że jednak w Rosyi prąd pokojowy jest górą, a wojna już się wszystkim przejadła, to zdaje się być zupełnie pewnem. Cieszmy się więc nadzieją, że nastaną lepsze czasy, oby jak najprędzej, zanim jeszcze wypuścimy z siebie dech ostatni.

Koalicya nie jest „w sosie“, w to wierzę, ale jej też i nic na to nie poradzę, kto bowiem wiatr sieje, ten musi, a przynajmniej powinien być na to przygotowanym, że przyjdzie mu zbierać burzę. A może właśnie teraz zbliża się to żniwo dla koalicyi.

W dalszym ciągu względami świętego Mikołaja cieszą się nasi panowie stróże, czyli dozorcy domów, którzy wprawdzie śniegu nie sprzątają, ale zato bardzo punktualnie zamykają wieczór bramy, by przypadkiem „szpera“ nie przepadła. Dla nich rozpoczęły się obecnie czasy błogosławione od chwili, gdy, ze względu na oszczędzanie światła, kazano zamykać bramy już o godzinie dziewiątej. Jeśli które rozporządzenie, to właśnie to, wykonywane bywa z największą dokładnością. Obecnie starają się stróże o to, aby i u nas pójść za przykładem Berlina i nakazać, aby wszyscy mężczyźni, w wieku od lat szesnastu do sześćdziesięciu, obowiązani byli do zajęcia się uprzątaniem śniegu z przed domów, które zamieszkują. Pan stróż, jako fachowiec, wyznaczałby tylko kolejny porządek dla pracowników i kierował technicznie robotami. Zajęcie to podciągnięto w Berlinie, o ile można wierzyć pismom codziennym, pod rubrykę świadczeń wojennych i włożono w rękę miotłę lub szuflę tym, których komisye przeglądowe uznały za niezdatnych do noszenia karabinu.

Wiedząc o tem, że za przykładem Berlina i u nas można się, jeśli nie prędzej, to później, spodziewać tej innowacyi, zaczynam się już pierwszy kłaniać na ulicy memu stróżowi, by w danym wypadku zyskać sobie jego względy, a panią stróżową witam stale słowami:

— Całuję rączki pani dozorczyni dobrodziejki!...

Słuszność wymaga, aby, skoro lokatorzy mają wyręczać stróża w jego urzędowych czynnościach, mieli też za to i jakieś wynagrodzenie, dajmy na to, prawo do poboru „szpery“ raz lub dwa razy w miesiącu, by sobie można było kupić bodaj miotłę, gdyż stróż jej z całą pewnością nie dostarczy.

Trzecie wreszcie miejsce w rzędzie obdarowanych przez świętego Mikołaja stanowią nasi saneczkarze, używający ku swej uciesze a utrapieniu ogółu w całej pełni przyjemności sportowych, niestety, w najbardziej uczęszczanych miejscach, więc na wszystkich, trochę bodaj spadzistych ścieżkach miejskich plantacyi. Przeciwnikiem sportu bynajmniej nie jestem, pragnąłbym jednak, aby uprawiany był na swojem miejscu i w swoim czasie, dlatego też byłbym bardzo wdzięczny tej władzy, która raczyłaby zarządzić rekwizycyę saneczek, o ile używa się ich w niewłaściwych miejscach. Zdrowie młodego pokolenia z pewnością nic na tem nie ucierpi, a ogół wyjdzie na tem tylko dobrze. To samo dotyczy także i łyżwiarzy, którzy za miejsce swych popisów obrali sobie chodniki uliczne, zwłaszcza po przedmieściach. Jeśli się zważy, jak rzęsistem jest obecnie oświetlenie naszych ulic w porze wieczornej nie należy się bynajmniej dziwić, gdy się trafi na należycie wygładzone przez sportowców miejsce i, straciwszy na niem równowagę (broń Boże, nie moralną!..) wyciągnie się na chodniku swą cielesną powłokę. Dobrze jeszcze, jeśli się na tem skończy, ale trzeba i to mieć na względzie, że przy tej sposobności można bardzo łatwo złamać rękę lub nogę, albo nawet skręcić kark, czego nie tylko sobie, ale i największemu memu wrogowi nie życzę i dlatego o tem wspominam, by uprzedzić odnośne rozporządzenie magistratu, które może się pojawić w maju lub czerwcu, gdy o śniegu i lodzie już zapomnimy.

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Legionista z Krakowa.

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy poda nazwisko osobistości, złączonej ściśle z Legionami.

```
□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ – – – – – – –
□ – – – – – –
□ – – – – –
□ – – – –
□ – – –
□ – –
□ –
□
```

Znaczenie wyrazów: 1 Szukany wyraz 2 Miejscowość w Galicji na Podkarpaciu 3 Miejsce, którędy płynie rzeka 4 Znany polski artysta dramatyczny 5 Imię męskie 6 Trawa 7. Minerał. 8. Przyimek. 9. Samogłoska

Zadanie na rozsypane litery.

Ułożył leg. pol. J. Markiewicz, poczta pol 378

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie:

a, b, c, d, d, e, e, i, k, o, o, o, r, r, t, z

Łamigłówka.

Ułożył Pikuś z Wieliczki.

Uzupełnić podane wyrazy. Litery, wstawione w miejsce kresek, czytane z góry na dół, podadzą rozwiązanie

```
Ja –
 –ół
 –wà
k—s
ta –
 —en
 –en
N –l
ma –
 –ko
 –oś
r –k
ma -
```

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył J. Markiewicz, poczta pol 378

Przez dodanie odpowiednich spółgłosek utworzyć znane polskie przysłowie:

-u-a--u--a-e--o--u--a!

Szarada.

Ułożył J. Markiewicz, legionista, Przemyśl.

Drugi dziś owoc bo wcale go nie mał...
Gdy czasem w dwu hasy, mrugając oczyma,
To wtedy zgadniesz już *dwie pierwsze głoski*.
Trzecią i czwartą otrzymasz bez troski,
Gdy z kolegami, po dobrym obiedzie,
Wesoły dyskurs przy stole się wiedzie.
Jeśli zestawisz *trzecią-pierwszą-czwartą*,
Staniesz przed Polski historyczną kartą.
Całość zaś lekiem na dzisiejsze smutki,
Więc wołaj głośno: „Napijmy się wódki!"..

Logogryf.

Ułożył J. Markiewicz, legionista, Przemyśl

Kwadraty i kreski zastąpić literami, aby powstały wyrazy o podanem znaczeniu. Rząd środkowy, czytany z góry na dół utworzy imię i przydomek (przezwisko) jednego z królów polskich.

```
      □
    – □ –
  – – □ – –
– – – □ – – –
    – □ – –
    – □ –
      □
      □
    – □ –
  – – □ – –
  – – □ –
    – □ –
    – □ –
    – □ –
– – – □ – – –
  – – □ – –
    – □ –
      □
```

Znaczenie wyrazów: 1 Spółgłoska. 2 Zwierzę ssące 3. Imię męskie zdrobniałe 4 Inaczej gotowanie się 5 Ryba 6. Termin techniczny matematyki 7 Samogłoska 8 Zwierz 9 Miasto w Poznańskiem 10 Instrument muzyczny 11 Zawód 12 Głos 13 Drzewo 14 Roślina polna. 15. Mała rzeka 16 Naczynie. 17. Zaimek. 18. Samogłoska.

Zadanie do uzupełnienia.

Ułożył Z. Szymanek. Nowy Sącz.

Przez dodanie spółgłosek utworzyć dwa znane polskie przysłowia:

1) A--u--u-iu!
2) -a--o-o-ie.-o-o---o-ie

Zadanie do przestawiania.

Ułożył W. Kruoecki, Dębica.

Z podanych liter ułożyć znane polskie przysłowie

Na palec znać chowa. Hop! Op!

Bilety wizytowe.

Ułożył Z. Szymanek, Nowy Sącz.

Z liter na biletach ułożyć godność, względnie zawód poszczególnych osób:

LECH SAMT

LECH K. MA!

AL. REITT.

Y. Y. GRENDT

Ł. PETRANZ

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania: **Album Legionów polskich.**

Rozwiązanie zagadek z Nr. 48.

Zadanie do uzupełnienia: Kolczyk w uchu, pustki w brzuchu.

Łamigłówka

```
Numa
osty
toga
grat
pika
arak
para
Ima
Echo
Sawa
kora
amen
```

Zadanie na rozsypane litery: Za prawdę indzie gina

Trójkąt magiczny:

```
A d a m K i n i e s k i
D r o g o m i s t r z
A s e k u r a c y a
M o n t b l a n c
K a r y n a t a
I z a b e l a
N a r w a l
I m b i r
E l e w
S e n
K u
I
```

Zadania do przestawienia: Pogląda na księżą oborę

Grzebień ołówka:

```
K e r n e l U j e j s k i
i   a   r   r   k   e   n
n   d   y   u   w   k   s
d   o   t   g   a   w   a
t   m   r   w   d   a   u
a   s   e   n   o   n   s
ł   k   a   j   r   a   t
```

Zadanie do przestawienia: Lepszy wróbel w ręku, niż cietrzew na sęku.

Zagadka kryształowa:

```
        R
      m a k
    Ł u c y a
  p o z ł o t a
R a c ł a w i c e
  k o t w i c a
    g l i n a
      s e h
        e
```

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: J. Jakubowska Kraków, A. Rosiński Zakopane, M. Wyka Kraków. D. Ligęza Kraków. D. Łodyńska Kraków, J. Roland Kraków, M. Planecka Kraków, H. Korytowski Cieszyn, A. Siatka Kraków, J. Kwaśniewski Krzeszów, W. Gebhardt Kraków, J. Sadowski Kraków, H. Trojacki Wiedeń, C. Wang Wadowice, K. Sawliński Jasło, I. Brzestowski Krosno, S. Karwowski Berlin, D. Łopatyński Kraków, M. Klappholz Kraków, D. Engelberg Wiedeń J. Lisowski Oświęcim S. Osadowska Rzeczyca, K. Radoszewski Sucha, S. Krzyżanowski Kraków, J. Rosenbaum Skawina, J. Krawecki Wadowice, W. Potocka Kraków, D. Karczmarski Poddębie, J. Zachara Biała, J. Łopatkiewicz Praga, L. Lang Kraków, B. Zbigniewicz Kraków, S. Sokołowski Kraków, L. Kozubski Wiedeń, K. Karpowicz Wiedeń, J. Sperling Wiedeń, S. Cegielski Poznań, W. Mirecki Lwów. K. Kinalski Biała S. Bernatowicz Zakopane, M. Klimek Cieszyn, S. Lipski Wiedeń S. Skowronski Wieden, J. Jahoda Cieszyn, T. Bilinski Oświęcim, A. Dużak Kraków, S. Jasiński, Budapeszt, J. Broda Mor. Ostrawa, S. Grodzicki Praga, S. Kamocki Przemyśl, J. Topolnicki Lwów, E. Bogdalska Koropuż.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Krawecki, Wadowice.** Upraszamy o nadesłanie 50 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Właściciele i wydawcy: Spadkobiercy St. Lipińskiego. Odpow. redaktor: S. Lipińska. Nakładem własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madeyskiego.